

Maria Deskur: Bez czytania możemy się cywilizacyjnie cofnąć

● Liliana Sonik: Noblistka z Iranu. Między życiem a śmiercią ● Prof. Tadeusiewicz o moście – cudzie techniki

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



Nr 105 (24 883)

DZIENNIK POLSKI

Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)

Piątek, 8.05.2026 r.

www.dziennikpolski24.pl

Od załamania demokracji do dyktatury. Setna rocznica przewrotu majowego 1926 roku **str. 22**



Kraków wraca do wielowiekowej tradycji otwierania bram miasta. Start 9 maja o godz. 10 **str. 7**

Alina Gabrel-Kamińska sfotografowała już 30 porodów. Przy każdym się wzrusza **str. 18**



IREK DUDEK

Zawsze miałem w życiu pod górkę – mówi ojciec chrzestny polskiego bluesa STR. 24

NOWA KARTA DLA TURYSTÓW DZIELI ZAKOPANE. NIE WSZYSCY SĄ ZACHWYCENI

Sukces czy pole do nadużyć?

Długi weekend majowy stał się poligonem doświadczalnym dla nowego narzędzia promocyjnego stolicy Tatr – Karty Turysty Zakopane. Projekt, który wystartował 1 maja, doczekał się pierwszych podsumowań opartych na twardych danych z systemu Travel Host.

Choć magistrat ogłosił sukces, w środowisku lokalnych przedsiębiorców radość miesza się z niepokojem o stabilność rynku rezerwacji i transparentność nowych rozwiązań.

Łukasz Bobek
Czytaj str. 3

Tomasz Górski był kilkanaście razy w Czarnobylu. Dziś obala mity str. 26

Nr ISSN 0137-9089

Nr Indeksu 350052



SPOŁECZEŃSTWO PIERWSZA KOMUNIA CZY WESELE?

Twoja pierwsza ko..., pierwsza komórka!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą albo pierwszym dronem. Da-

leko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat.

Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pój-

dzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma kupić rower. Liczy, że dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może starczy jej na laptopa lub na konsolę? *Czytaj str. 16-17*

KOSMICZNY ŚWIAT W MAŁOPOLSCIE

Witajcie na planecie Grzegorza Hajdarowicza STR. 20-21



Życie Grzegorza Hajdarowicza rozpięte jest między dwoma kontynentami: Europą i Ameryką Południową. A gdzieś między nimi powstaje projekt, który trudno porównać z czymkolwiek innym w Polsce

TYDZIEŃ Z DZIENNIKIEM POLSKIM

SOBOTA

● MAGAZYN PRZY SOBOCIE

PONIEDZIAŁEK

● DODATEK SPORTOWY

WTOREK

● PULS BIZNESU

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE

CZWARTEK

● POD PARAGRAFEM

PIĄTEK

● PULS POLSKI

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 12 312 53 88, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.dziennikpolski24.pl

Janusz Michalczyk



RATUJEMY, ALE PO CO WŁAŚCIWIE?

Timmy - takie imię ktoś nadał humbakowi i dzięki temu wiele osób śledziło ze zwiększonym zainteresowaniem losy tego podobnego do wieloryba stworzenia, które zabłąkało się na płytkie, niemieckie wybrzeże Bałtyku. Jeżeli masz imię, to jesteś w jakimś sensie osobą i łatwo obdarzyć cię uczuciami. Kiedy kończysz życie, zrozumiała jest żaloba. Z humbakiem będzie prawdopodobnie jak z zaginionym w dramatycznych okolicznościach człowiekiem - należy się liść z żałobą, ale nie mamy pewności, czyba że cielsko wylądowało na plaży.

Ekspert, a także aktywiści z ekologicznej organizacji Greenpeace, uznali, że należy mocno osłabionemu i cierpiącemu humbakowi dać spokojnie umrzeć, ale znalazło się dwoje bogaczy, którzy postanowili sfinansować akcję ratunkową, polegającą na przecignięciu zwierzęcia na Morze Północne za pomocą specjalnego, zanurzonego w wodzie pojemnika. Przykładało temu mnóstwo osób, bo poczuły głębszą więź emocjonalną z Timmy'm i źle się czuły ze świadomością, że nie można mu pomóc. Obserwowaliśmy sceny jakby zaczerpnięte z kina familijnego (statek holujący nazywał się „Robin Hood”). Na koniec zmaltretowanego humbaka wypuszczono na wolność i parę dni temu ślad po nim zaginął. Specjaliści zgadzają się, że jego szanse na przeżycie są nikłe. Do tej sytuacji pasuje chyba powiedzenie: operacja się udała, pacjent zmarł.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, jakie już dawno opisali psychologowie - wypieranie śmierci ze świadomości współczesnego, żyjącego w komfortowych warunkach człowieka, któremu nie grozi głód i chłód. Z tym że teraz nie chodzi już tylko o ludzi, ale też o zwierzęta, na które rzutowane jest współczucie. Kilka lat temu Paul Bloom wydał głośną książkę pt. „Przeciw empatii” i trudno oprzeć się wrażeniu, że miał rację, wskazując na szkodliwość mocno emocjonalnych reakcji, prowadzących do fatalnych skutków. Bloom zalecał racjonalne współczucie, a więc takie, gdy decyzje są przemyślane, a nie podejmowane spontanicznie albo gdy do głosu dochodzi instynkt stadny. Z pewnością ludzie kibicujący akcji z humbakiem poczuili się lepszymi istotami, ale czy ktoś z nich próbował wejść w skórę zwierzęcia? To by wymagało dłuższego namysłu i głębszej refleksji. No i to jednak zwierzę...

TELEFONY

- Numer alarmowy 112
- Pogotowie ratunkowe 999
- Całodobowa Informacja Medyczna 12 661-22-40
- Telefon zaufania 12 413 71 33
- Pogotowie energetyczne - 991, gazowe 992, ciepłownicze 993, wod-kan. 994
- Ośrodek Interwencji Kryzysowej 12 421 92 82
- Całodobowa Informacja Pacjenta 800 190 590
- Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111
- Straż Miejska Kraków 986
- Całodobowa linia wsparcia 800 702 222
- Biuro numerów 118 913

POGODA

DZIŚ

MAX
18°CMIN
9°C

Wiatr NW. 11 km/h

Uwaga: Zachmurzenie, ale wyjdzie też słońce w ciągu dnia

JUTRO

MAX
18°CMIN
8°C

Wiatr NE. 11 km/h

Uwaga: Zachmurzenie duże, ale z przejaśnieniami w ciągu dnia

ZDJĘCIE DNIA

Pierwsza polana wiśniowa w Krakowie powstanie w Bronowicach. Ruszają nasadzenia.

Polana powstanie w miejscu gdzie istnieje już słynna aleja wiśniowa. - Zarząd Zieleni Miejskiej rozpocznie sadzenie pierwszych 20 drzew ozdobnych wiśni w ramach tego projektu w najbliższą sobotę, 9 maja o godz. 9 - przekazał Urząd Miasta Krakowa. Miasto chce, by w rejonie alei wiśniowej powstała polana wiśniowa, urządzona, z dodatkowymi alejkami, taka, która miałaby służyć mieszkańcom w najbliższym otoczeniu.



MAGAZYN PRZY SOBOCIE

● KRZYSZTOF KLENCZON SPEŁNIŁ SWOJE MARZENIA ● CEZARY PAZURA. JEGO KOMEDIOWE ROLE ZNA NIEMAL KAŻDY ● NAJPIĘKNIEJSZE PAŁACE I PARKI W POLSCE



FOT. SYLWIA DĄBROWA

KOLEJNA PREMIERA

WŁOSKI REŻYSER ODNIÓSŁ JUŻ WIELKI SUKCES W OPERZE KRAKOWSKIEJ. WRACA Z LŹEJSZYM TYTUŁEM. 22 MAJA PREMIERA „WIEDEŃSKIEJ KRWI”

Anna Piątkowska

anna.piatkowska@polskapress.pl

Jeszcze nie opadły emocje po premierze „Toski”, a Opera Krakowska już zaprasza na kolejną nowość w swoim repertuarze. 22 maja premierę będzie miała tu operetka „Wiedeńska krew” Johanna Straussa, a reżyseruje ją Giorgio Madia, który krakowskiej publiczności dał się poznać w zrealizowanej tu z sukcesem „Aidzie”.

Gioorgio Madia - włoski choreograf i reżyser sceniczny, realizujący opery, balety, operetki, musicale w Krakowie dał się poznać z jak najlepszej strony. Jego „Aida” zrealizowana w Operze Krakowskiej zachwyciła melomanów nie tylko pod Wawelem - my uznaliśmy to przedstawienie najlepszym spektaklem krakowskim minionego sezonu.

Włoski reżyser wraca do Krakowa

Reżyser wraca do naszego miasta, tym razem również w klasycznym repertuarze, choć zdecydowanie lżejszym - na afisz Opery Krakowskiej jeszcze w maju trafi operetka Johanna Straussa „Wiedeńska krew”.

- Powodów, dla których operetka to wspaniała rzecz, jest ty-



FOT. WIKIPEDIA

siące. To zapach krajobrazu, styl epoki, akcenty języka i smak specyficznego sposobu życia - a wszystkie te cechy niesie niezmierzona siła jej melodii. Elementy te stanowią wyraz ludzkiego pragnienia radosnej egzystencji, tęsknoty pozostającej teraz tak samo żywą, jak wtedy. W mojej podwójnej roli reżysera i choreografa staram się usunąć warstwy kliszy i „odkurzyć” oryginalną partyturę, aby odnaleźć jej żywe, często przewrotne serce - wyjaśnia Giorgio Madia.

Tajemna gwiazda

Akcja operetki rozgrywa się w czasie Kongresu Wiedeńskiego z 1815 roku, który miał na celu zaprowadzenie „starożytności” po epoce Napoleona. W tym samym czasie dzieła się rewolucja w parkiecie, na salony wchodził bowiem walc wiedeński.

- Taniec ten to tajemna gwiazda wiedeńskiej operetki. Ignorował on sztywne konwencje moralne XIX w., łącząc mężczyzn i kobiety bliżej niż kiedykolwiek wcześniej było to dozwolone. Tutaj taniec to nie tylko „przerwa na tańce”; to narracja wyrażająca to, czego postacie nie mogą przekazać słowami, gdyż zbyt jest to przytłacza - tłumaczy reżyser, który w „Wiedeńskiej krwi” trzyma pieczę także nad choreografią. Giorgio Madia wielokrotnie był nagradzany za mistrzowską narrację ruchem, nowoczesne podejście do klasyki i wyjątkowe poczucie humoru. „Wiedeńska krew” Giorgio Madia realizuje z zespołami artystycznymi Opery Krakowskiej.

„Wiedeńska krew” zainauguruje 27. Letni Festiwal Opery Krakowskiej.

PRZYRODA

Dzieciół

Podłuchowanie i oglądanie dzieciół jest wiosną bajecznie łatwe. Wpierw samce będą jak szalone, by zwać partnerkę. Gdy związek zostanie zawarty przystępują do budowy lokum, czyli kują dziuple. Znalazienie dzieciola, na przykład czarnego polega na słuchaniu a potem cierpliwym podglądaniu. Polecam las ze starymi drzewami. Taki umierający świerk to prawdziwy raj dla wszystkich dzieciół. Po pierwsze jedzenie, jakie kryje wypróchniały pień. Tłuste, czasem wielkie jak palec larwy zjadaczy drewna. Świerkowe drewno nie jest specjalnie twarde a grzyby zrobiły swoje. Dzieciół czarny zaczyna posiek od podstawy pnia. Wpierw wykuwa owalny otwór średnicy pięści. Potem zaczyna posuwać się ku górze. Chore drzewa chętnie zasiedlają mrówki. Ku uciesze dzieciół budują mrowiska. Czarny ptak wybiera robotnice co do jednej. Długim językiem wyciągnie poczwarkę. Jeśli mrówcze chodniki znikają w ściółce, bez pardonu rozgrzebie ziemię. Teraz dziupla. Spory ptak potrzebuje dużej dziupli. Pół metra wysokości i ćwierć metra szerokości. Jeśli pomieszczenie będzie wykorzystywane przez dwa sezony, to może jeszcze powiększyć rozmiary. Czas na odrobinę matematyki. Ornitologzy zadali sobie sporo trudu, żeby policzyć, ile zdgnięć dzioba trzeba na mieszkanie dla czarnego dzieciola. Jakies dwieście tysięcy solidnych uderzeń. Zaręczam wam, że znalezienie czarnego dzieciola to łatwizna.

Grzegorz Tabasz

Kronika Krakowska

KRÓTKO

MAŁOPOLSKA

Zagrożenie pożarowe. Wojewoda rozesłał alert RCB



KOMENDA WOJEWÓDZKA PSP W KRAKOWIE

Alert RCB dotyczący zagrożenia pożarowego w lasach i ich okolicach rozesłano w środę do mieszkańców Krakowa i Tarnowa oraz powiatów: bocheńskiego, brzeskiego, dąbrowskiego, tarnowskiego, krakowskiego, chrzanowskiego, wielickiego, wadowickiego, miechowskiego, myślenickiego, olkuskiego, suskiego, nowosądeckiego, proszowickiego. Informacja ta trafiła do mieszkańców regionu na wniosek wojewody, który zwołał w środę także posiedzenie Zespołu Zarządzania Kryzysowego. Z prognoz Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej wynika, że w Małopolsce występuje obecnie wysokie zagrożenie pożarowe. - Ogień to żywioł bardzo trudny do opanowania. Obserwujemy to, co dzieje się na Lubelszczyźnie, gdzie również strażacy z Małopolski walczą z pożarem. Apelujemy do wszystkich osób, którzy spędzają swój czas w lasach, aby nie używali w nich i w ich sąsiedztwie ognia. Prosimy także o reagowanie i niezwłoczne informowanie właściwych służb o możliwym zagrożeniu. Wilgotność ściółki lasów jest stale monitorowana. Dziękuję służbom za ich gotowość do niezwłocznego działania -

zaznacza wojewoda Krzysztof Jan Kłęczar.

Na dziś w Małopolsce nie ma zakazu wchodzenia do lasów, ale niewykluczone, że w niektórych rejonach takie zasady trzeba będzie wprowadzić w najbliższych dniach czy tygodniach.

- Lasy Państwowe są w pełnej gotowości do podejmowania działań. Uruchomiliśmy cały potencjał, którym dysponujemy. Mamy obsadzone punkty alarmowo-dyspozycyjne we wszystkich nadleśnictwach. Przeglądaliśmy wszystkie dojazdy i dojścia pożarowe, które mogą zostać użyte podczas akcji gaśniczych. Pełen potencjał załóg jest w gotowości. Tereny leśne są patrolowane również pieszo. Pracownicy zakładów usług leśnych są w gotowości do działania przeciwko zarzewiom ognia. Codziennie o godz. 9 i 13 diagnozowane jest zagrożenie pożarowe w punkcie prognozy na terenie Puszczy Niepołomickiej. Na ten moment wilgotność ściółki wynosi 10,2 proc. Zakaz wejścia do lasów jest wprowadzany wtedy, kiedy wskaźnik spadnie poniżej 10 proc. - mówi Michał Goś, zastępca dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Jolanta Białek

550

tysięcy złotych. To szacunkowy koszt stworzenia lawendowego parku kieszonkowego na Ruczaju w Krakowie. Jest to projekt mieszkańców.

TRADYCYJNA PROCESJA Krakowska procesja św. Stanisława znów przejdzie z Wawelu na Skałkę.

10 maja o godz. 9 z katedry na Wawelu wyruszy procesja ku czci św. Stanisława biskupa i męczennika, głównego patrona Polski i Archidiecezji

Krakowskiej. Krakowska kuria opublikowała zaproszenie kardynała Grzegorza Rysia. - Procesja z Wawelu na Skałkę od wieków miała charakter święta kościelnego, ale także patriotycznego i narodowego - podkreśla metropolita krakowski.

KRAKÓW

TELEFON
dziennikarza dyżurnego

697 730 318

E-MAIL

redakcja@gk.pl

Karta Turysty w Zakopanem: sukces czy pole do nadużyć?

Łukasz Bobek
lukasz.bobek@polskapress.pl

Projekt, który wystartował 1 maja, doczekał się pierwszych podsumowań opartych na twardych danych z systemu Travel Host.

Władze Zakopanego nie kryją satysfakcji z tempa, w jakim nowa usługa zyskała zainteresowanie. W ciągu trzech pierwszych dni funkcjonowania w systemie zarejestrowało się blisko 600 użytkowników. Profil statystyczny wskazuje, że najchętniej po aplikację sięgają turyści w wieku od 30 do 50 lat, a tuż za nimi plasuje się grupa wiekowa 20-30 lat.

Zdaniem Iwony Grzebyk-Dulak, wiceburmistrz Zakopanego, majowy sprawdzian wypadł pomyślnie. Obecnie w programie uczestniczy 56 partnerów, oferujących różnego rodzaju benefity i zniżki. Wiceburmistrz podkreśla, że Karta Turysty ma pełnić funkcję „inteligentnego asystenta pobytu”, gromadzącego w jednym miejscu informacje o atrakcjach, szlakach, restauracjach i wypożyczalniach. Istotnym aspektem projektu jest również walka z szarą strefą - dostęp do karty mają wyłącznie osoby uiszczające opłatę miejscową za pośrednictwem systemu Travel Host, co ma wyeliminować wpływ do budżetu miasta.

Mimo entuzjazmu magistratu, branża noclegowa zgła-



FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

Turyści w Zakopanem podczas majówki

sza poważne zastrzeżenia. Głównym punktem zapalnym okazało się włączenie obiektów noclegowych do listy podmiotów oferujących zniżki w ramach benefitów karty. Część kwatrodawców widzi w tym mechanizm sprzyjający nieuczciwej konkurencji i destabilizacji rynku.

Przedsiębiorcy zajmujący się wynajmem pokoi, tacy jak Paweł Dutka, ostrzegają przed scenariuszem, w którym turysta po spędzeniu jednej nocy w obiekcie bez zniżki i uzyskaniu kodu QR, zdecyduje się na skrócenie pobytu, by przenieść się do konkuren-

cyjnego ośrodka oferującego rabat w ramach aplikacji. W ich ocenie promowanie obiektów noclegowych jako benefitu mija się z celem projektu i może doprowadzić do zjawiska „przeskakowania” gości między pensjonatami w pogoni za marginalną oszczędnością.

Wiceburmistrz Iwona Grzebyk-Dulak odpiera te zarzuty, argumentując, że na wolnym rynku każdy przedsiębiorca ma prawo dołączyć do programu i zaproponować własne warunki. Urząd Miasta stoi na stanowisku, że obecność w aplikacji jest przede wszystkim certyfikatem legalności obiektu, co

ma chronić turystów przed tzw. wirtualnymi pensjonatami.

Przedstawiciele branży turystycznej patrzą na projekt z dystansem, wskazując na mankamenty techniczne i komunikacyjne. Dariusz Galica zwraca uwagę na zbyt złożony proces uzyskiwania dostępu do karty oraz ubogą ofertę, zdominowaną przez podmioty miejskie. Jego zdaniem aplikacja w obecnej formie jest mało intuicyjna i nie daje turysty realnych powodów do powrotu do Zakopanego w dłuższej perspektywie.

Karol Wagner z Tatrzańskiej Izby Gospodarczej podkreśla, że choć projekt był konsultowany z wieloma środowiskami, jego wdrożenie nastąpiło „na ostatniej prostej”. Wagner zaznacza, że Karta Turysty nie jest produktem skończonym, lecz „atakiem na bramkę”, który będzie wymagał modyfikacji. Przedsiębiorcy liczą, że w przyszłości karta nie będzie kojarzona wyłącznie z rabatami, ale stanie się realnym ułatwieniem, obejmującym na przykład bezpłatną lub zniżkową komunikację miejską, co mogłoby odciążyć zakorkowane centrum miasta.

Magistrat zapowiada dalszy rozwój funkcjonalności aplikacji, w tym udoskonalenie systemu raportowania zbiorczego dla dużych obiektów hotelowych, co ma usprawnić generowanie kodów dla grup zorganizowanych.

Bez sprzedaży alkoholu w Krakowie od 22?

Piotr Tymczak
piotr.tymczak@polskapress.pl

Do procedowania przez Radę Miasta został zgłoszony projekt w sprawie ograniczenia godzin sprzedaży alkoholu. Nocna prohibicja miałaby obowiązywać w godzinach od 22 wieczorem do 6 rano.

„Zmiana uchwały poprawi bezpieczeństwo w Gminie Miejskiej Kraków oraz nie ma skutków finansowych dla budżetu Miasta, gdyż nie ogranicza ilości opłat za korzystanie z zezwoleń

na sprzedaż napojów alkoholowych” - zapisano w uzasadnieniu projektu przygotowanego przez grupę mieszkańców.

Projekt dotyczy zmiany uchwały Rady Miasta Krakowa z 17 maja 2023 roku w takim zakresie, by wprowadzić zakaz sprzedaży napojów alkoholowych przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży (sklepy) w godzinach nocnych, pomiędzy godz. 22 a godz. 6.

Przypomnijmy, że 1 lipca 2023 r. zaczęła obowiązywać uchwała Rady Miasta Krakowa, dotycząca ograniczeń w godzinach

nocnej sprzedaży detalicznej alkoholu. Zakaz obowiązuje między północą a godz. 5.30, na terenie całego Krakowa, z wyłączeniem lokali gastronomicznych, m.in. restauracji i barów.

„Statystyki pokazują, że wprowadzenie uchwały przyniosło dobre rezultaty, mimo znaczącego wzrostu ilości turystów w Krakowie. Kraków jest pierwszym dużym miastem w Polsce, które wprowadziło te zasady na terenie całego miasta” - podsumowano w krakowskim urzędzie po dwóch latach funkcjonowania przepisów.

Krakowska Komisja Zrównoważonej Gospodarki Nocy pod przewodnictwem burmistrza nocnego Jacka Jordana przekazała też do Ministerstwa Zdrowia oraz posłów zasiadających w Sejmowej Komisji Zdrowia postulat umożliwienia gminom wydłużenia godzin zakazu nocnej detalicznej sprzedaży alkoholu również o godziny poranne - do godz. 8.

Uzasadniono to tym, że według statystyk, w Polsce sprzedaż poranna tzw. małpek wynosi ponad 400 tys. sztuk, co stanowi 31 proc. ich dziennej sprzedaży.

Za kilka dni rusza budowa mostu na powiatówce Libusza-Wójtowa

Halina Gajda
halina.gajda@polskapress.pl

Prawie 3,5 mln zł kosztowała będzie budowa nowego mostu na drodze Libusza-Wójtowa. Od kilku tygodni jest wyłączony z ruchu, bo kolokwialnie mówiąc, załam się.

Niewielki most na odcinku drogi powiatowej Libusza - Wójtowa został zamknięty w połowie marca. Decyzja o tym, że nie będzie żadnego doraźnego remontu zapadła od razu. Wszystko z racji stanu technicznego. W skrócie: przyczyną zamknięcia przeprawy było uszkodzenie dźwigara nośnego. Uszkodzeniu uległy także poprzecznice łączące dźwigary. Na konstrukcji pojawiły się pęk-

nięcia i zarysowania betonu świadczące o dużych siłach ścinających, co sprawiło, że mogło dojść do jego zawalenia się.

Na wjazdach z obu stron pojawiły się hałdy piasku, wyznaczone zostały objazdy. - Mamy już opracowaną dokumentację projektową nowego obiektu wraz z wszystkimi pozwoleniami, a zarząd powiatu gorlickiego ma zabezpieczone środki finansowe na pokrycie wkładu własnego - informował nas Marcin Krzemiński, zastępca starosty gorlickiego.

Przetarg na budowę nowej przeprawy został rozstrzygnięty. Wygrał gorlicki Godrom, teren budowy został przekazany, a realne prace mają rozpocząć się w drugiej połowie maja. Drogowcy zadbają o kładkę dla pieszych.



Prawie 3,5 mln za most na powiatówce Libusza-Wójtowa. Budowa ma ruszyć lada dzień

Obwodnica Oświęcimia zmienia miasto

Bogusław Kwiecień
boguslaw.kwiecien@polskapress.pl

Całość południowej obwodnicy Oświęcimia ma być gotowa pod koniec tego roku. Oddane jednak jej fragmenty już mają wpływ na ruch w mieście.

W sierpniu 2025 roku uruchomiono ponad 4-kilometrowy odcinek zachodni - od węzła Oświęcim na trasie S1 do ronda w Pławach. Pod koniec ub. roku oddano kolejne 1,6 km drogi wraz z mostem na Sole, łączące ronda na ulicach Legionów i Jagiełły.

Wielu kierowców ocenia, że chociaż trasa nie jest jeszcze w całości gotowa, to już realnie odciąża ruch w centrum miasta. Dużo łatwiej ostatnio jeździ się z jednej na drugą stronę Soły. Pewnie wpływ ma

nowy most, ale w innych częściach miasta na drogach jest luźniej - zauważa Kacper Woźniak, kierowca z Oświęcimia.

Jak dodaje, równie cieszy go fakt, że znacznie szybciej jeździ się teraz także do Bielska-Białej. Obecnie inwestycja koncentruje się na wykonaniu przejazdu pod linią kolejową Oświęcim - Czechowice-Dziedzice wraz z dojazdami. To najtrudniejsza część prac na budowie obwodnicy Oświęcimia w ciągu DK44 - zaznacza Kacper Michna z krakowskiego oddziału GDDKiA.

Nowa trasa włącza Oświęcim bezpośrednio w system dróg ekspresowych i autostrad, w tym S1 i A4, co pozwala na szybsze i bardziej komfortowe podróże zarówno w kierunku Krakowa, Katowic, jak i całej Polski.

Jednostka wojskowa w Tarnowie? Szukają lokalizacji

Andrzej Skórka
andrzej.skorka@polskapress.pl

Tarnów i MON coraz poważniej przysmykają się do ulokowania w mieście jednostki regularnego wojska. Wyżsi oficerowie z resortu obrony oraz Sztabu Generalnego oglądali tereny na potrzeby armii.

Militarne plany w odniesieniu do Tarnowa ogłosił pięć miesięcy temu Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i szef Ministerstwa Obrony Narodowej.

Według szefa MON tarnowska jednostka ma stanowić część formowanej 8. Dywizji Piechoty im. Armii Krajowej, której główną siedzibą są Kielce. Tworzenie dywizji przebiegać ma w dwóch etapach, z których pierwszy - przynajmniej według aktualnych planów - miałby zakończyć się w 2028 roku.

Powstanie jednostki w Tarnowie byłoby jednym z elementów kolejnego etapu. W jego ramach wojskowe obiekty w mieście trzeba byłoby wybudować od podstaw. W dawnych koszarach przy ul. Mickiewicza urzęduje bowiem od lat Akademia Tarnowska, a teren niedługojszej jednostki przy ul. Mościckiego to obecnie m.in. Centrum Handlowe MAX, muzeum i obiekty OHP.

Jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem planów ulokowania zawodowego w Tarnowie miasto prowadziło w tej spr-



W środę (6 maja) w Tarnowie przebywała wojskowa komisja lokalizacyjna z MON i Sztabu Generalnego

wie rozmowy z MON. Chodziło o wskazanie lokalizacji. Ta do dziś trzymana jest w tajemnicy, ale wiadomo, że to tereny o powierzchni ponad 8 hektarów - w części własność miasta, w części Skarbu Państwa.

6 maja oglądała je „komisja lokalizacyjna”, w składzie której znaleźli się oficerowie zarówno z MON, jak i Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Zastrzeżono, by wizyta odbywała się bez udziału mediów.

- Oferujemy na potrzeby jednostki teren nieurbanizowany, mając na uwadze przede wszystkim dogodny dojazd

i ograniczenie uciążliwości dla mieszkańców - mówi Jakub Kwaśny, prezydent Tarnowa.

Jeśli ocena komisji wypadłaby pozytywnie, wówczas ulokowanie w Tarnowie jednostki wojskowej znajdzie się na liście inwestycji strategicznych dla obronności państwa.

Wojsko to dla miasta wielka szansa także w aspektach innych niż bezpieczeństwo. To inwestycja miastotwórcza

Nieznana jest na ten moment skala wojskowej obecności w Tarnowie. Może to być batalion, którego liczebność to kilkuset żołnierzy, ale w grę wchodzić może pułk, a wówczas mowa byłaby już o nawet dwóch tysiącach stacjonujących w Tarnowie wojskowych. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby wesprzeć powstanie w Tarnowie zawodowej jednostki wojskowej. Wojsko to dla miasta wielka szansa, także w aspektach innych niż bezpieczeństwo. To inwestycja miastotwórcza, to nowe miejsca pracy, nowe osiedla, nowi mieszkańcy - zapewnia Jakub Kwaśny.

Falstart „elektryka” do Morskiego Oka. Bus w serwisie, nie wiadomo kiedy wróci

Łukasz Bobek
zakopane

Elektryczny bus, który popsuł się na drodze do Morskiego Oka - wylądował w serwisie. Brak jednego z części pojazdów - z dniem TPN - nie wpływa niekorzystnie na turystów.

1 maja, po zimowej przerwie wymuszonej trudnymi warunkami na oblodzonej trasie, na drogę do Morskiego Oka wyjechały cztery elektryczne busy. Niestety, już pierwszego dnia eksploatacji jeden z pojazdów odmówił posłuszeństwa. Awaria elektryki uniemożliwiła maszynę na Polanie Włosienica, zmuszając służby do ściągnięcia jej na dół za pomocą lawety.

Dziś wciąż nie wiadomo co się stało z samochodem, co ule-



1 maja jeden z busów uległ awarii

gło awarii, ani kiedy auto wróci na szlak. Pojawiły się obawy, czy ubytek 25% floty nie sparaliżuje kursów na tym słynnym tatrzańskim szlaku. Tatrzański Park Narodowy uspokaja - pozostałe trzy pojazdy dadzą radę z obsługą ruchu.

- Rozkładu jazdy nie zmieniamy. Na razie tutaj nie ma żadnych zmian. To, że się jeden bus zepsuł, nie oznacza komplikacji dla turystów. No a co dalej, to będziemy wiedzieć, jak się wypowie serwis. Bus jest niezły, czekamy na diagnostę specjalistę - wyjaśnia Magdalena Zwijacz-Kozica z Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Teraz kluczowe będą ekspertyzy techniczne - flota zakupiona w ubiegłym roku za 3,7 mln zł (ok. 800 tys. zł za sztukę) powinna być jeszcze objęta gwarancją.

Mimo pechowego początku sezonu, plany rządu i władz Parku dotyczące drogi do Morskiego Oka pozostają niezmiennione. Minister klimatu i środowiska, Paulina Hennig-Kloska, ogłosiła tuż przed majówką zatwierdzenie

dofinansowania. Środki z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej mają pozwolić na zakup 16 nowych pojazdów elektrycznych oraz budowę stacji szybkiego ładowania i transformatorów.

Elektryczny tabor ma być częścią szerszego porozumienia z fiakrami, podpisanego w lutym 2025 roku. Zgodnie z jego założeniami, transport na trasie ma docelowo przybrać formę hybrydową:

Odcinek Palenica Białczańska - Wodogrzmoty Mickiewicza - tradycyjne zaprzęgi konne.

Odcinek Wodogrzmoty Mickiewicza - Włosienica: busy elektryczne.

Obecnie na trasie panuje stan przejściowy - busy i konie kursują równolegle, co potrwa jeszcze do 10 maja. Co będzie dalej - nadal nie wiadomo.

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży”, Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży”.

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemyślany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży” to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln



zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży” w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubrania specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszy zjawiskami i stanowią codzienną służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP

spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży” to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne. – *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowocześniejszymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo. - Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły prze-*

ćwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę”. Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho” poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież

nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie” i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży” trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej orlennastry.pl. Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży”.



Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Duża inwestycja niedaleko Tarnowa. Lokalna firma będzie rozwijała produkcję

Andrzej Skórka
andrzej.skorka@polskapress.pl

Dzięki decyzji o wsparciu wydanej przez Krakowski Park Technologiczny w Ładnej wybudowana zostanie nowoczesna hala produkcyjno-magazynowa. Blachodach zainwestuje tam blisko 24 mln zł.

Głównym elementem inwestycji będzie budowa hali magazynowo-produkcyjnej z zapleczem socjalno-biurowym oraz pełną infrastrukturą techniczną w Ładnej w gminie. Całość wyposażona zostanie w zaawansowaną infrastrukturę informatyczną wspierającą zarządzanie logistyką i produkcją.

W ramach inwestycji wartęj prawie 24 mln zł Blachodach unowocześni również swój park

maszynowy oraz logistykę. Planowany jest zakup specjalistycznych maszyn - m.in. do wytwarzania blachodachówki oraz linii lakierniczej.

Firma zostanie doposażona również w samochody ciężarowe, wózki widłowe oraz suwnice przeznaczone do transportu ciężkich elementów wewnątrz hali. Z kolei nowoczesna infrastruktura magazynowa w połączeniu z nowymi systemami informatycznymi ma usprawnić zarządzanie procesami logistycznymi i przyspieszyć obsługę wyrobów gotowych.

Blachodach to rodzinna firma z ponad 30-letnią tradycją. Zaczynała w branży handlowej, dziś jest producentem m.in. blachodachówek modułowych, paneli dachowych, systemów rynnowych i akcesoriów ogrodowych.



Firma Blachodach zainwestuje w rozwój produkcji w Ładnej koło Tarnowa

PORZĄDEK POGRZEBÓW

Dziś zegnamy

Cmentarz Rakowicki

9:00 - Władysław Stożek (lat 85)
9:40 - Zbigniew Nowak (lat 69)
10:20 - Elżbieta Kuchcicka (lat 73)

11:00 - Elżbieta Rodecka (lat 91)
11:40 - Piotr Maciejasz (lat 66)
12:20 - Władysław Kordela (lat 92)

13:00 - Janina Szczurek (lat 91)
13:40 - Adam Suzek (lat 88)

Cmentarz Bronowice

13:00 - Kazimiera Witczak (lat 88)

14:00 - Hanna Potępska (lat 90)

Cmentarz Podgórski

10:00 - Henryka Cendrowicz (lat 60)

11:00 - Halina Idzik (lat 79)
12:00 - Marian Nikodemowicz (lat 82)

Cmentarz Prokocim

13:00 - Stanisław Kubik (lat 73)

Cmentarz Wola Duchacka

14:00 - Paweł Gawor (lat 42)

Cmentarz Prądnik Czerwony

9:00 - Maria Gruchacz (lat 92)
9:40 - Stanisław Czekaj (lat 89)

9:40 - Kazimierz Fraś (lat 90)

10:20 - Marta Boroń-Dyga (lat 67)

11:00 - Krystyna Grembowiec (lat 77)

11:00 - Ludwik Blitek (lat 78)
11:40 - Alicja Ostapowicz (lat 93)
11:40 - Janusz Boguszewski (lat 70)

12:20 - Barbara Kosowska (lat 78)
13:00 - Jerzy Podkowa (lat 90)

13:40 - Adam Szostek (lat 81)

Cmentarz Grębałów

9:00 - Leszek Kutek (lat 67)

9:40 - Wacław Mars (lat 68)

10:20 - Marek Trzaska (lat 64)

11:40 - Zofia Duda (lat 91)
12:20 - Jacek Cholewiński (lat 61)

13:00 - Elżbieta Golla (lat 60)

13:40 - Lidia Bunikowska (lat 93)

14:00 - Liliana Gawenda (lat 0)

Cmentarz Komunalny w Podgórkach Tynieckich

11:00 - Roman Szczekocki (lat 72)

12:00 - Roman Janicki (lat 59)

12:30 - Dmytro Mamchur (lat 53)

13:30 - Piotr Ciaputa (lat 89)

Ludzie nie chcą magazynu energii pod Tarnowem. Władze gminy są innego zdania

Robert Gąsiorek
robert.gasiorek@polskapress.pl

Burza po decyzji rady gminy Lisia Góra. Dotyczy ona działek, na których prywatny inwestor planuje budowę magazynu energii. Inwestycja wywołuje ogromne protesty.

Protesty w sprawie budzących sprzeciw społeczny inwestycji w gminie Lisia Góra trwają już od kilku miesięcy. Wszystko zaczęło się od informacji, że w Łukowej chorzowska firma planuje budowę wielkopowierzchniowej farmy fotowoltaicznej.

Po protestach radni gminy Lisia Góra wycofali się z uchwały, która dawała firmie możliwość budowy na terenie Łukowej olbrzymiej inwestycji.

Przy okazji jednak mieszkańcy sąsiedniego Pawężowa dowiedzieli się, że w ich miejscowości ta sama firma planuje budowę infrastruktury elektroenergetycznej obejmującej stację transformatorową, rozdzielnię elektroenergetyczną oraz baterijne magazyny energii. To, co na razie jest planowane przez inwestora, to wiemy, że to jest magazyn o mocy około siedemdziesięciu pięciu megawatów. On by się miał składać z ponad siedemdziesięciu potężnych kontenerów wypełnionych bateriami, takimi akumulatorami po prostu. A do tego około czterdziestu dodatkowych kontenerów, różnych transformatorów. To wszystko ogrodzone w całość takim wysokim ogrodzeniem, oświetlone, monitorowane. No generalnie zamiana tego terenu w teren przemysłowy całkowicie. To jest teren, który w sumie znajduje się pomiędzy trzema lub czterema miejscowościami, gdzie najbliższe domy są w odległości już pięciuset metrów od tego terenu. Natomiast w odległości tysiąca metrów to już są setki domów - mówi Łukasz Kusior, jeden z liderów komitetu utworzonego przez mieszkańców Pawężowa, którzy sprzeciwiają się tej inwestycji.

Mieszkańcy wskazują, że przez budowę takiej infrastruktury elektroenergetycznej na wartości stracą okolice nieruchomości. Przede wszystkim jednak obawiają się, że w razie awarii bądź pożaru, ucierpi całe najbliższe otoczenie. - Uważamy, że tego typu inwestycje stanowią potencjalne zagrożenie dla dobrostanu



Mieszkańcy podtarnowskiej wsi wściekli po decyzji władz gminy. W Pawężowie może powstać magazyn energii. Inwestycja rodzi protesty

mieszkańców i taka inwestycja powinna być zlokalizowana na terenach przemysłowych, z dala od zabudowy mieszkaniowej, na obszarach do tego przeznaczonych. Nie sprzeciwiamy się samej transformacji energetycznej, ale oczekujemy transparentności, rzetelności, konsultacji społecznych i z uwagi na opinie naukowców, między innymi opinii Polskiej Akademii Nauk, która jasno mówi, że takie inwestycje są zagrożeniem dla mieszkańców i powinny być lokowane poza zabudowaniami mieszkaniowymi na terenach do tego po prostu przygotowanych - zaznacza Tomasz Nowak, mieszkaniec Pawężowa.

Ludzie mają żal do władz gminy Lisia Góra, która do tej pory robiła wszystko, aby ułatwić inwestorowi realizację inwestycji w Pawężowie. We wrześniu rada gminy przyjęła m.in. uchwałę o zmianie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego poprzez wyłączenie z niego trzech działek, na których firma z Chorzowa planuje budowę magazynu energii.

Komitet utworzony przez mieszkańców Pawężowa przygotował na majową sesję własną uchwałę w sprawie uchylenia podjętych we wrześniu przez radnych zmian w planie zagospodarowania przestrzennego.

Na środowej (6 maja) sesji pojawiło się sporo mieszkańców Pawężowa, którzy liczyli, że władze gminy staną po ich stronie, tak jak to było m.in. w przypadku sprawy farmy fotowoltaicznej w Łukowej.

Głosowanie pokazało jednak, że jest inaczej. Radni przy tylko jednym głosie „za” i trzynastu „przeciw” odrzucili uchwałę przygotowaną przez mieszkańców.

- Decyzja radnych jest fatalna. Nasza demokratycznie wybrana władza opowiedziała się nie tak jak ogół wiejski. Bardzo jest nam przykro. Jesteśmy oburzeni tym, że mandat zaufania, który daliśmy naszej władzy, nie spełnia naszych oczekiwań - mówiła po głosowaniu zirytowana Małgorzata Juza, mieszkanka Pawężowa.

Wójt gminy Lisia Góra Arkadiusz Mikuła tłumaczył natomiast, że rada zdecydowała o „ciągłości tworzenia prawa lokalnego na terenie gminy Lisia Góra”, a sama budowa magazynu energii nie jest jeszcze przesądzona, chociaż przyznaje, że inwestor zwrócił się już do urzędu o wydanie warunków zabudowy.

- Ten wniosek jeszcze nawet nie jest procedowany. Zwróciliśmy się do Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska, czy na tę inwestycję potrzebna jest decyzja środowiskowa. RDOŚ, odnosząc się do wniosku, który jest złożony, stwierdził, że nie jest wymagana decyzja środowiskowa stricte na tę inwestycję, natomiast z uwagi na potrzebę posiadania pewności co do bezpieczeństwa mieszkańców, co do oceny ryzyk, które ewentualnie niesie za sobą ta inwestycja, zadeklarowałem, że i tak wystąpię do inwestora i zobowiąże go do uzyskania decyzji środowiskowej. Żeby taką decyzję środowiskową uzyskać, inwestor będzie mu-

siał mieć opinie i uzgodnienia różnych instytucji: Sanepidu, Wód Polskich, ale przede wszystkim Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska, który jest tutaj organem upoważnionym do tego, żeby oceniać wpływ tego typu inwestycji na środowisko. Dopiero na podstawie tych opinii i uzgodnień będziemy procedować decyzję o warunkach zabudowy. Tak naprawdę wtedy dopiero będzie się okazywało, czy ta decyzja będzie pozytywna, czy negatywna - tłumaczy wójt podtarnowskiej gminy.

Mieszkańcy Pawężowa zapowiadają jednak, że nie będą w tej sprawie składać broni i wciąż zamierzają walczyć, aby planowany w ich miejscowości magazyn energii nie powstał.

Protesty przeciwko budowie magazynu energii nie przeszkodziły natomiast w rozpoczęciu budowy największej tego typu inwestycji w Polsce - w Myślachowicach pod Trzebiną.

Inwestycja od miesięcy budziła duże emocje wśród tamtejszych mieszkańców. Protestujący podkreślali, że nie sprzeciwiają się samej idei magazynowania energii, lecz sposobowi procedowania projektu. W ich opinii zabrakło transparentnej komunikacji oraz rzetelnego informowania społeczności lokalnej o planach inwestycyjnych.

Mimo tych głosów sprzeciwu inwestycja jest już realizowana, a wszystko wskazuje na to, że magazyn energii w małopolskich Myślachowicach powstanie zgodnie z planem.

Amerykańska piosenkarka Madison Beer wystąpi 11 maja w Krakowie

Paweł Gzyl
pawel.gzyl@polskapress.pl

W poniedziałek wieczorem Tauron Arena wypełni się w większości młodymi wielbicielkami popu. Na scenę wkroczy bowiem przedstawicielka generacji Z - Madison Beer.

Kraków będzie jedynym polskim przystankiem na światowej trasie koncertowej amerykańskiej wokalistki.

W świecie współczesnego popu, gdzie kariery często gasną szybciej niż ekrany smartfonów, Madison Beer stanowi przypadek szczególny. 25-letnia artystka, która dekadę temu została „odkryta” przez Justina Biebera, przeszła długą drogę od nastoletniej sensacji internetu do świadomej artystki, która rzuca wyzwanie standardom branży muzycznej.

Historia kariery Madison Beer brzmi jak współczesna baśń. W 2012 roku, trzynastoletnia wówczas dziewczynka opublikowała na YouTube cover utworu Etty James. Linkiem po-

dzielił się Justin Bieber, co z dnia na dzień zapewniło jej miliony fanów i kontrakt z wielką wytwórnią.

Jednak to, co miało być biletami do raju, szybko stało się złotą klatką. Przez lata Beer walczyła z wizerunkiem „produktu”, któremu narzucano repertuar i sposób bycia. Branża chciała z niej zrobić kolejną gwiazdę nastoletniego popu, podczas gdy ona aspirowała do bardziej introspektywnych i mrocznych brzmień.

Przełom nastąpił, gdy Madison zdecydowała się na odważny krok: zerwała współpracę z wielką wytwórnią i przez pewien czas działała jako artystka niezależna. To właśnie wtedy odnalazła swój głos. EP-ka „As She Pleases” udowodniła, że potrafi sama pisać teksty, które rezonują z milionami młodych ludzi borykających się z problemami psychicznymi, toksycznymi relacjami i presją mediów społecznościowych.

Dziś Madison Beer to nie tylko wokalistka, ale i producentka swoich nagrań oraz reżyserka własnych teledysków.



FOT. MATPRASOWE

Madison Beer dotrze do Krakowa w ramach „The Locket Tour”. Bilety od 79 złotych.

Kraków wraca do tradycji otwierania bram miasta

Anna Piątkowska
anna.piatkowska@polskapress.pl

9 maja o godz. 10.00 Krakówianie i turyści staną się świadkami ożywienia wielowiekowej tradycji otwierania bram miasta.

- To nie jest spektakl, a tradycja, do której kultywowania przystąpiły te same miejskie służby, które kiedyś w niej uczestniczyły: Straż Miejska i Straż Pożarna - mówi Michał Niezabitowski z Muzeum Krakowa.

W Krakowie otoczonym murami niezwykle ważnym obyczajem, a także potrzebą miasta było codzienne otwieranie bram miasta. Leżało ono w gestii burmistrza, dziś jego odpowiednikiem jest prezydent, który mógł też wydać klucze drabom, czyli straży miejskiej. Otwarcie bram oznaczało, że miasto rozpoczyna swoje codzienne życie. Gdy mury zostały zburzone obyczaj zanikł, ale mamy wrażenie, że symbolika otwartej bramy jest dziś szczególnie ważna, w sytuacji, gdy różne bramy próbujemy zamykać obawiając się wielokulturowości - mówi Michał Niezabitowski, dyrektor Muzeum Krakowa, które wielowiekowy zwyczaj ożywi. - Jesteśmy miastem, które w herbie ma otwartą bramę.

Po raz pierwszy bramy miasta zostaną otwarte w sobotę, 9 maja o godz. 10.00, a następnie każdego dnia - poza poniedziałkami - i tak aż do zimy.

W odtwarzaniu tej tradycji - zgodnie z historycznymi instrukcjami, ostatnia taka pochodzi z 1720 roku - będą brały udział: Muzeum Krakowa, Miejska Straż Pożarna oraz Straż Miejska. W czwartek, 7 maja w Pałacu Krzysztofory podpisane zostało porozumienie w tej kwestii między instytucjami, dokument podpisali Michał Niezabitowski,



FOT. ANNA KACZMARZ

Kraków wraca do wielowiekowej tradycji, a muzeum uruchamia średniowieczną trasę zwiedzania

dyrektor Muzeum Krakowa, Arkadiusz Kielin, komendant Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Krakowie, Zbigniew Ulman, komendant Straży Miejskiej Miasta Krakowa oraz dyrektor Kraków Tourism Alliance Grzegorz Soszyński.

Jak wyjaśnia Michał Niezabitowski, zwyczaj zamykania i otwierania bram miał kluczową funkcję dla bezpieczeństwa dawnego Krakowa. Kwestia ta została uregulowana w 1574 roku, jako reakcja na ucieczkę Henryka Walezego z zamku na Wawelu do swojej ojczyzny. Czas bezkrólewia wiązał się z poczuciem niepewności i zagrożenia, włodarze Krakowa podjęli więc decyzję, która miała uchronić miasto przed destabilizacją. Akt regulujący kwestię zamykania i otwierania bram w sposób przejrzysty również określał zadania mieszkańców w przypadku zagrożenia. - Proceder jej otwierania znalazł swój wyraz w oficjalnych miejskich dokumentach, w których szczegółowo opisano zestaw koniecz-

nych codziennych czynności w tym zakresie. Mając powyższe na uwadze uznaliśmy, że proceder ten powinien zyskać wyraz specjalny, osobny, który stałby się zauważalną i atrakcyjną ofertą dla mieszkańców oraz gości jako nowa propozycja kulturalna Krakowa - mówi dyrektor Muzeum Krakowa.

9 maja, hejnalista po odegraniu hejnału z Wieży Mariackiej o godz. 10.00 zejdzie na płytę Rynku Głównego, a następnie w towarzystwie strażników miejskich przejdzie pod Bramę Floriańską. Przez całą trasę będzie towarzyszył im dźwięk mosiężnego dzwonka obwieszczającego to przejście. - Gdy dotrą pod Bramę Floriańską, złożą pokłon pod płaskorzeźbą, przedstawiającą patrona strażaków św. Floriana oraz herb Krakowa - wyjaśnia dyrektor Muzeum Krakowa.

Następnie pochód przejdzie przez Bramę Floriańską w stronę Barbakanu i dalej na Most Kleparski, gdzie o godz. 10.20 z podwyższenia w bramie

hejnalista zagra fragment pochodzącej z XV wieku melodii „Cracovia Civitas”, w tym czasie zostaną otwarte wielkie wrota do wnętrza budowli.

Powrót do tradycji stał się pretekstem do przekazania Muzeum Krakowa przez Miejską Straż Pożarną historycznej trąbki hejnalistów oraz pierwszego munduru Straży Miejskiej, zaprojektowanego w 1990 roku. - Mamy w swojej kolekcji dwie trąbki hejnalistów, o jednej z nich Ambroży Grabowski napisał, że od dawna grano na niej hejnał mariacki, wyznaczający granice miasta. W szczególności zostali wszyscy strażacy, którzy grali na niej od roku 1887 do 1920, kiedy to pojawił się kolejny trąbka używana do roku 2000, kiedy to ponownie została wymieniona. Teraz instrument został ponownie wymieniony, a ten który wyszedł z użytku trafił do naszych zbiorów. Mamy więc nieśmiertelną melodię krakowską graną od połowy XIX wieku, wszystkie instrumenty, na których ją grano - opowiada Michał Niezabitowski.

Trasa Krakowa średniowiecznego to nowy szlak zwiedzania miasta uruchomiony przez Muzeum Krakowa. Rozpocznie się od Rynku Podziemnego, przez Barbakan i Bramę Floriańską wraz murami oraz Wieżą Ratuszową, które stanowią bezcenny zasób średniowiecznej opowieści o mieście.

- To szczególna epoka, w której Kraków powstał i stał się miastem centralnym państwa, jego życia politycznego, kulturalnego, religijnego, intelektualnego oraz handlowo-produkcyjnego - mówi Łukasz Wałas, kierownik oddziału Muzeum Krakowa Rynek Podziemny. - Połączenie czterech filii Muzeum pozwoli nam na budowanie opowieści o tamtym wyjątkowym czasie i wydarzeniach.

REKLAMA

0011510924

GOZ

Gospodarka Obiegu Zamkniętego

Lider Małopolski

FIRMA | NGO | SZKOŁA



Zobacz: www.dziennikpolski24.pl/goz

Wkręć się w obieg

i wygraj!



pula nagród w konkursie

30.000 zł

Organizator

Konkurs realizowany w ramach projektu

Partner Główny

DZIENNIK POLSKI

MAŁOPOLSKA

INSTYTUCJA WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Patronat Honorowy: Ryszard Pagacz - Wicemarszałek Województwa Małopolskiego

KRÓTKO

REFERENDUM

Wniosek ws. „Zielonego Ładu”

Prezydent Karol Nawrocki poinformował w czwartek, że zdecydował o skierowaniu wniosku do Senatu o przeprowadzenie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej.

„Jako obywatelski kandydat na prezydenta podpisałem porozumienie z niezależnym samorządnym związkiem zawodowym »Solidarność«. Zadeklarowałem w nim między innymi, że podejmę działania hamujące negatywne skutki wynikające z polityki europejskiej

skiego Zielonego Ładu, w tym w szczególności złożę do Senatu Rzeczypospolitej wniosek o przeprowadzenie referendum w sprawie implementacji polityki klimatycznej Unii Europejskiej” – powiedział prezydent Karol Nawrocki w wystąpieniu dostępnym na profilu kancelarii prezydenta na Platformie X. Podkreślił, że „decyzje podejmowane dziś będą miały wpływ na nasze życie przez długie lata” i ocenił, że dotyczy to „szczególnie europejskiej polityki klimatycznej”.

SPOTKANIE

Premier u papieża Leona XIV



Wczoraj premier Donald Tusk spotkał się z papieżem. To pierwsza audiencja premiera u Leona XIV. Odbędzie się w przeddzień pierwszej rocznicy wyboru papieża z USA. Premier zawiązał papieżowi w podarunku Pięcioksiąg Mojżeszowy w języku kaszubski.

MEDIA

Będą walczyć z dezinformacją

Polskie media publiczne – Telewizja Polska, Polska Agencja Prasowa i Polskie Radio zawarły w czwartek porozumienie powołujące do życia inicjatywę „Sprawdzam to”. Głównym elementem inicjatywy będzie portal sprawdzamto.pl, na którym będą publikowane i porządkowane treści fact-checkingowe. Znajdą się tam m.in. newsy, analizy i raporty oraz publicystyka wyjaśniająca mechanizmy manipulacji w mediach. Portal zbuduje własną redakcję, ale kluczowe dla rozwoju projektu będzie merytoryczne i instytucjonalne zaplecze mediów publicznych. Treści będą udostępniane w serwisie informacyjnym PAP, na portalu PAP.pl, w serwisach profilowanych oraz w kanałach społecznościowych Agencji.

REKLAMA 0011431775

INFORMATOR MEDYCZNY

Jeżeli chcecie Państwo umieścić ogłoszenie:

Zadzwońcie: 12 688-84-40

Wysyłajcie maile: reklama.krakow@polskapress.pl

REKLAMA 0011431595

COR-MED
www.cor-med.com

CENTRUM CHOROŚ SERCA

PEŁNA DIAGNOSTYKA
KONSULTACJE ORDYNATORÓW,
PROFESORÓW I DOCENTÓW

◆ Echo serca i naczyń (Doppler kolor)
◆ EKG ◆ EKG wysiłkowe ◆ Holter ◆ Holter ciśnieniowy

Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 118
Rejestracja tel. (12.00–17.00)
012 636 44 22

POŻAR

Cały obszar pożaru jest aktualnie pod kontrolą, choć w środku niego wciąż są miejsca, które wymagają stałej interwencji strażaków – poinformował w czwartek szef MSWiA Marcin Kierwiński. Przez dwa dni akcji gaśniczej w Puszczy Solskiej wykonano z powietrza ok. 500 zrzutów – ponad 600 ton wody. Obszar pogorzeliska oceniany jest wstępnie na ok. 300 ha, ale obszar działań operacyjnych na około tysiąc hektarów.

Ustawa o kryptowalutach. To już trzecie podejście

Dorota Kowalska
Warszawa

W Sejmie mamy dzisiaj dwa projekty ustaw mające uregulować w Polsce rynek kryptowalut. Jeden po raz trzeci złożył rząd. Drugi – prezydent Nawrocki. Wszystko w sytuacji, kiedy afera Zondacrypto zatacza coraz szersze kręgi i pojawia się w niej coraz więcej nazwisk polityków prawicy

Rząd nie zamierza odpuszczać w kwestii kryptowalut. Dwie poprzednie ustawy w tej sprawie zawetował prezydent Karol Nawrocki. Teraz do Sejmu trafiła ustawa numer trzy, niewiele różniąca się od poprzednich.

– Jedyną zmianę, jaką będę proponował w tym projekcie, jest jeszcze wyraźniejsze zaostrożenie kar dla tych, którzy wykorzystując marzenia ludzi, czasami naiwność ludzi, czasami brak wiedzy, oszukują ich i narażają też państwo polskie, nasze bezpieczeństwo na szwank, a oszukują tych ludzi, którzy chcą zainwestować swoje oszczędności – przekazał Donald Tusk przed wtorkowym posiedzeniem rządu.

– Mamy do czynienia z jedną z największych afer ostatnich nie lat, ale dekad. Aferą, w którą wpłatani bezpośrednio są byli i aktualny prezydent i prawnicze partie opozycji, bezpośrednio finansowani politycy z tej opozycji. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło –



FOT. ADAM JANKOWSKI

Rząd Donalda Tuska złożył trzeci już projekt ustawy ws. kryptowalut

podsumował we wtorek premier. Wywołani do tablicy postanowili działać. Prezydent Nawrocki, już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce rynek kryptowalut zapowiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

– Pan prezydent w dniu dzisiejszym złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptoaktywach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek – poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Prezydencki projekt ustawy, jak mówił Bogucki, „zasadza się na trzech zasadniczych filarach”.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezydent Nawrocki złożył swój projekt „osadzony na trzech filarach”

Pierwszy to ochrona konsumentów i inwestorów. Drugi – kwestia realnego i skutecznego nadzoru państwa. Trzeci – zabezpieczenie konstytucyjnych praw przedsiębiorców, którzy działają w ramach rynku kryptowalut.

Szef KPRP podkreślił, że projekt ustawy jest wyjściem na przeciw tym, którzy oczekują na regulację rynku kryptoaktywów.

Historia politycznej walki o uregulowanie, czy większą kontrolę nad rynkiem kryptowalut, trwa w Polsce już od kilku miesięcy. Pod koniec ubiegłego roku Karol Nawrocki zawetował uchwaloną 7 listopada ustawę o rynku kryptoaktywów. Wtedy

Zbigniew Bogucki decyzję Nawrockiego tłumaczył między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

Prezes PiS, pytany wówczas przez dziennikarzy, jak jego klub zagłosuje w sprawie zawetowanej ustawy, oświadczył, że posłowie będą wspierać prezydenta. Przyznał jednak, że „kryptowalutami całkowicie się nie zajmuje”.

Sejm weta prezydenta nie odrzucił. Przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji.

Po głosowaniu premier Donald Tusk zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej sprawie. I tak też się stało – nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

W lutym tego roku prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny. Tłumaczył, że otrzymał do podpisu dokument praktycznie identyczny, jak ten, który wcześniej zawetował.

Głosowanie nad odrzuceniem prezydenckiego weta wyznaczono na 17 kwietnia. Sejm jednak i tym razem nie odrzucił weta prezydenta. Mimo że wszyscy posłowie wiedzieli to, o czym dzisiaj wiemy my wszyscy.

Tymczasem 17 kwietnia wszczęto śledztwo w sprawie giełdy Zondokrypto, prowadzi je Centralne Biuro Zwalczenia Cyberprzestępczości we Wrocławiu. PAP

Senat zagłosował za obowiązkowym czipowaniem psów i kotów. W ciągu pięciu lat obejmie wszystkie

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Obowiązkowe czipowanie psów i kotów zakłada ustawa o Krajowym Rejestrze Psów i Kotów (KROPIK), którą w czwartek poparł Senat.

Za ustawą wraz ze zmianami głosowało 56 senatorów, przeciwnych było sześć, 17 wstrzymało się od głosu.

Ustawa o KROPIK wprowadza obowiązek czipowania oraz

rejestracji psów i kotów w elektronicznym systemie prowadzonym przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Skrócono termin wejścia w życie ustawy od jej ogłoszenia – z trzech do dwóch lat. Jednocześnie zachowano trzyletni okres na oznakowanie i rejestrację zwierząt urodzonych przed wejściem w życie ustawy. W ciągu pięciu lat rejestr ma objąć całą populację psów i znaczną część populacji kotów w Polsce.

Ustawa wprowadza obowiązek oznakowania i rejestracji wszystkich psów niezależnie od daty urodzenia. W przypadku kotów obowiązek obejmuje zwierzęta, które mają właściciela, przebywające w schronisku lub pod opieką organizacji zapewniającej opiekę w domu tymczasowym. Rady gmin zdecydują, czy obowiązkiem czipowania objąć koty wolnożyjące. Obowiązkiem nie będzie można objąć kotów wolnożyjących bytujących

w gospodarstwach rolnych. Maksymalny koszt oznakowania i rejestracji psów niezależnie od daty urodzenia wynosi 0,56 proc. przeciętnego wynagrodzenia ogłaszanego przez GUS, czyli obecnie ok. 50 zł za każdą z tych czynności. Koszt pokrywa właściciel. W przypadku zwierząt już oznakowanych wystarczy rejestracja. Zwierzęta znakują i rejestrują lekarze weterynarii.

Przez trzy lata ARiMR zapewni bezpłatną rejestrację zwierząt oznakowanych wcześniej. PAP

Wybory w Anglii, Szkocji i Walii: zapowiada się klęska Partii Pracy

Grzegorz Kuczyński
Londyn, Edynburg, Cardiff

Wczorajsze wybory lokalne w Anglii oraz wybory do parlamentów Szkocji i Walii mogą przypieczętować los brytyjskiego premiera Keira Starmera. Wszystkie sondaże zapowiadają porażkę rządzącej Partii Pracy.

Mieszkańcy Anglii wybierali władze w 136 jednostkach samorządu terytorialnego, czyli w około jednej trzeciej z istniejących, w tym we wszystkich gminach Londynu. Do rozdzielenia jest łącznie 5066 mandatów radnych, z czego prawie 2200 bronią labourzyści. W Szkocji do obsadzenia jest cały skład tamtejszego parlamentu, liczącego 129 posłów, podobnie jak w Walii, której parlament, Senedd, zostanie powiększony z 60 do 96 miejsc.

Większość wyników zostanie ogłoszona prawdopodobnie w piątek po południu.

Według sondaży wybory przyniosą poważne przetaso-



Premier Keir Starmer i jego małżonka Victoria w drodze do lokalu wyborczego. Czy te wybory pozbawią go stanowiska?

wania w politycznym układzie sił i dalsze potwierdzenie tego, że funkcjonujący przez dekady system z dwiema dominującymi partiami coraz bardziej staje się systemem pięcio-, a w Szkocji i Walii nawet sześciopartyjnym. Przy okazji też coraz bardziej spolaryzowa-

nym, bo zyskują głównie partie skrajne.

Anglia: populiści w natarciu

W Anglii, zgodnie z sondażami, najwięcej mandatów zdobędą prawicowo-populistyczna partia Reform UK oraz lewi-

cowo-populistyczna Partia Zielonych. Dopiero o trzecie miejsce powalczą tradycyjne ugrupowania: Partia Pracy, Partia Konserwatywna i Liberalni Demokraci, przy czym labourzystom grozi utrata nawet dwóch trzecich mandatów, których bronią, a konserwatom połowy.

Szczególnie bolesna dla Partii Pracy będzie utrata wielu mandatów w Londynie, który do niedawna wydawał się miejscem, gdzie labourzyści nie mają z kim przegrać. Jednak spora część ich wyborców, rozczarowana niespełną dwuletnimi rządami Starmera, przeniosła swoje poparcie na Partię Zielonych.

Faworyci wyborów w Szkocji i Walii

W Szkocji pewna zwycięstwa może być rządząca od 2007 r. Szkocka Partia Narodowa (SNP), a niewiadomą jest tylko to, czy uda się jej osiągnąć bezwzględna większość. Jeśli tak się stanie, SNP używać tego będzie jako argumentu na rzecz rozpisania nowego referendum w sprawie niepodległości Szkocji.

O drugie miejsce – z dużą stratą do SNP – powalczą Partia Pracy i Reform UK, co z punktu widzenia labourzystów jest słabym wynikiem, biorąc pod uwagę, że jeszcze dwa lata temu mieli oni nadzieję na odsunięcie od władzy SNP.

Jeszcze większą katastrofą dla labourzystów może być Walia, gdzie Partia Pracy wygrała wszystkie wybory od powołania walijskiego parlamentu w 1999 roku i nieprzerwanie od tego czasu rządzi. Tymczasem, według sondaży, o zwycięstwo powalczą opowiadająca się za niepodległością partia Plaid Cymru oraz Reform UK, a labourzyści zajmą odległe trzecie miejsce.

Odsunięcie Starmera?

Spodziewane porażki labourzystów mogą jeszcze bardziej zachwiać pozycją premiera Keira Starmera. Mogą się do tego przyczynić wciąż powracające kontrowersje dotyczące wyznaczenia na ambasadora w USA Petera Mandelsona, mimo jego związków z Jeffreyem Epsteinem. Pojawiały się spekulacje w prasie, że część labourzystowskich posłów spiskuje w celu odsunięcia Starmera, a także na temat jego potencjalnych następców. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko”

Można być całunoblisko, dalekobliisko, momentoblisko i pysznoblisko, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko”, promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno”, ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.



Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są Nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu ofer-

ty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej

ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać”, a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiegokolwiek kontroli zużycia.

Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m.in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna

ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcji ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi”. Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

Sekretarz stanu USA Marco Rubio przybył do Rzymu na rozmowy z papieżem i rządem Giorgii Meloni

Oprac. Alina Mazurska
Włochy/Watykan

Wczoraj rano przybył do Rzymu sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Marco Rubio, który tego dnia spotka się z papieżem Leonem XIV, a w piątek odbędzie rozmowy z premierem Włoch Giorgią Meloni.

O godz. 11.30 Rubio został przyjęty przez papieża Leona XIV na audiencji w Watykanie. To będzie ich drugie spotkanie. Pierwszy raz rozmawiali w dniu inauguracji pontyfikatu papieża z USA 18 maja zeszłego roku.

Do ich spotkania dojdzie w okresie bezprecedensowych napięć między Waszyngtonem a Stolicą Apostolską na tle wielu krytycznych wypowiedzi

dzi prezydenta USA Donalda Trumpa na temat Leona XIV.

Konflikt na linii papież – prezydent
Gdy Leon XIV zaapelował w kwietniu o pokój w Iranie i wezwał chrześcijan do skończenia z wojną oraz z „demonstrowaniem władzy”, prezydent Trump opublikował na platformie Truth Social wpis, w którym ocenił, że papież jest „fatalny” w polityce zagranicznej.

W opinii prof. Fagioliego, profesora teologii historycznej na katolickim uniwersytecie Villanova, tego rodzaju spięcie w czasach nowożytnych nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

Na uwagę, że Jan Paweł II także sprzeciwiał się inwazji na Irak za czasów prezydenta George’a W. Busha, profesor

przypomniął, że polski papież nigdy nie poprosił amerykańskich wyborców o interwencję u ich przedstawicieli w Kongresie w sprawie deeskalacji wojny, jak zrobił to Leon XIV.

- Papież stał się głosem opozycji, nawet jeśli tego nie chciał. Jest dziś najbardziej widocznym przeciwnikiem Donalda Trumpa na arenie międzynarodowej - ocenił Fagiolio.

W poniedziałek prezydent Trump ponownie skrytykował papieża. W wywiadzie dla The Hugh Hewitt Show amerykański prezydent stwierdził, że Leon XIV uważa za dopuszczalne posiadanie przez Iran broni nuklearnej, co zagraża wszystkim katolikom.

Jak podał portal vatican-news.va, papież odniósł się we

wtorek do tych słów i powiedział, że „Kościół od lat wypowiada się przeciwko wszelkiej broni nuklearnej” i że aby rozwiązywać dzisiejsze problemy, znacznie lepszy od wspierania przemysłu zbrojeniowego jest dialog.

Według badania opinii publicznej przeprowadzonego dla amerykańskiej stacji NBC w połowie kwietnia br. 42 proc. Amerykanów oceniało papieża Leona pozytywnie, a tylko 8 proc. negatywnie. Równocześnie 41 proc. popierało prezydenta Trumpa, przy 53 proc. postrzegających go negatywnie.

Spotkanie z premierem
Dzisiaj przed południem Marco Rubio spotka się z premierem Włoch Giorgią Meloni.



Marco Rubio wraz z małżonką przybyli wczoraj do Rzymu. W czwartek Rubio spotkał się z papieżem

Przeprowadzi też rozmowy z szefem włoskiej dyplomacji, wicepremierem Antonio Tajanem i ministrem obrony Guido Crosetto. PAP

REKLAMA

0011520375

Starosta Wielicki
Rynek Górny 2
32-020 Wieliczka
AB.6740.1.1.2026

OBWIESZCZENIE STAROSTY WIELICKIEGO

o wszczęciu postępowania w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej.

Na podstawie art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz. U. 2024 poz. 311) zawiadamia się, że na wniosek złożony w dniu 11.02.2026 r. przez Burmistrza Miasta i Gminy Wieliczka reprezentowanego przez P. Grzegorza Durczyńskiego zostało wszczęte postępowanie administracyjne w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej dla inwestycji drogowej pod nazwą:

„Rozbudowa drogi gminnej 561021K Koźmice Małe - Koźmice Wielkie”

Inwestycja projektowana jest na działkach położonych w **obrzebie 0014 Koźmice Małe, 0015 Koźmice Wielkie oraz 0019 Pawlikowice, jednostka ewidencyjna 121905 5 Wieliczka, powiat wielicki, województwo małopolskie**

1. Nieruchomości objęte liniami rozgraniczającymi teren inwestycji: (w odniesieniu do nieruchomości, które podlegają podziałowi – przed nawiasem podano numer działki, która powstaje w wyniku zatwierdzenia podziału i jest przeznaczona pod drogę, w nawiasie podano numer działki przed podziałem):

• w zakresie drogi gminnej nr 561021K:

- **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 3/6 (3/4), 4/21 (4/4), 4/13 (4/8), 4/15 (4/9), 4/23 (4/10), 4/17 (4/11), 4/19 (4/12), 5/14 (5/8), 5/12 (5/9), 6/9 (6/2), 7/19 (7/5), 7/21 (7/6), 7/23 (7/7), 7/17 (7/8), 7/15 (7/9), 8/1 (8), 21/1 (21), 23/3 (23/1), 23/5 (23/2), 24/1 (24), 25/1 (25), 26/1 (26), 28/1 (28), 29, 30/11 (30/4), 38/1 (38), 39/11 (39/4), 39/7 (39/2), 39/9 (39/3), 40/8 (40/5), 40/10 (40/7), 41/6 (41/1), 41/8 (41/3), 41/10 (41/4), 41/12 (41/5), 51/1 (51), 52/1 (52), 54/1 (54), 55/1 (55), 56/1 (56), 57/1 (57), 58/1 (58), 59/1 (59), 60/1 (60), 171/1 (171), 171/2 (171), 172/7 (172/4), 172/9 (172/5), 172/11 (172/6), 173, 174/11 (174/9), 174/13 (174/1), 174/15 (174/6), 174/10, 178/1 (178), 179/1 (179), 180/1 (180), 183/17 (183/6), 183/13 (183/11), 183/15 (183/12), 291/1 (291), 294/1 (294);**

- **obrzeb 0015 Koźmice Wielkie: 356/3 (356/1), 360/8 (360/5), 360/10 (360/6), 360/14 (360/2), 360/16 (360/3), 360/12 (360/7), 362/1 (362), 373/1 (373), 374/1 (374), 375/1 (375), 376/1 (376), 377, 380/4 (380/3), 382/29 (382/9), 382/27 (382/10), 382/25 (382/11), 382/31 (382/13), 382/21 (382/1), 382/23 (382/12);**

• w zakresie drogi gminnej nr 561022K:

- **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 52/2 (52), 41/9 (41/3).**

2. Nieruchomości poza liniami rozgraniczającymi teren inwestycji, niezbędne do realizacji inwestycji, objęte obowiązkiem budowy lub przebudowy sieci uzbrojenia terenu, zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. e ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (w odniesieniu do nieruchomości, które podlegają podziałowi – przed nawiasem podano numer działki, która powstaje w wyniku zatwierdzenia podziału i posiada dotychczasowe przeznaczenie,

a jej część zostaje objęta ww. obowiązkiem, w nawiasie podano numer działki przed podziałem):

• **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 3/7 (3/4), 4/14 (4/8), 4/22 (4/4), 4/24 (4/10), 5/5, 5/13 (5/9), 5/15 (5/8), 7/16 (7/9), 7/18 (7/8), 7/20 (7/5), 7/22 (7/6), 7/24 (7/7), 8/2 (8), 21/2 (21), 23/4 (23/1), 23/6 (23/2), 28/2 (28), 30/1, 30/12 (30/4), 37/7, 38/2 (38), 40/9 (40/5), 41/7 (41/1), 41/14 (41/3), 41/11 (41/4), 41/13 (41/5), 68, 76/5, 171/3 (171), 172/8 (172/4), 172/10 (172/5), 174/12 (174/9), 174/14 (174/1), 174/16 (174/6), 177/1, 177/2, 178/2 (178), 179/2 (179), 180/2 (180), 183/14 (183/11), 183/16 (183/12);**
• **obrzeb 0015 Koźmice Wielkie: 336, 355, 356/4 (356/1), 360/9 (360/5), 360/11 (360/6), 360/13 (360/7), 360/15 (360/2), 360/17 (360/3), 362/2 (362), 376/2 (376), 378/2, 382/22 (382/1), 382/24 (382/12), 382/26 (382/11), 382/28 (382/10), 382/32 (382/13);**
• **obrzeb 0019 Pawlikowice: 44/1.**

3. Nieruchomości poza liniami rozgraniczającymi teren inwestycji, niezbędne do realizacji inwestycji objęte obowiązkiem przebudowy zjazdów, zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. h ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (w odniesieniu do nieruchomości, które podlegają podziałowi – przed nawiasem podano numer działki, która powstaje w wyniku zatwierdzenia podziału i posiada dotychczasowe przeznaczenie, a jej część zostaje objęta ww. obowiązkiem, w nawiasie podano numer działki przed podziałem):

• **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 4/22 (4/4), 5/5, 5/13 (5/9), 7/16 (7/9), 7/22 (7/6), 7/24 (7/7), 8/2 (8), 21/2 (21), 28/2 (28), 30/1, 30/2, 30/12 (30/4), 37/7, 38/2 (38), 39/8 (39/2), 39/10 (39/3), 39/12 (39/4), 40/9 (40/5), 41/7 (41/1), 41/11 (41/4), 41/13 (41/5), 59/2 (59), 171/3 (171), 172/8 (172/4), 172/10 (172/5), 174/12 (174/9), 174/16 (174/6), 178/2 (178), 179/2 (179), 180/2 (180), 183/14 (183/11), 183/18 (183/6), 294/2 (294);**
• **obrzeb 0015 Koźmice Wielkie: 356/4 (356/1), 360/9 (360/5), 360/13 (360/7), 360/15 (360/2), 373/2 (373), 375/2 (375), 376/2 (376), 378/2, 380/2, 380/5 (380/3), 382/24 (382/12), 382/26 (382/11), 382/28 (382/10), 382/30 (382/9), 382/32 (382/13).**

4. Nieruchomości poza liniami rozgraniczającymi teren inwestycji, niezbędne do realizacji inwestycji objęte obowiązkiem przebudowy innych dróg publicznych, na częściach działek, zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt. 8 lit. g ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych

• **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 51/2 (51), 68;**
• **obrzeb 0015 Koźmice Wielkie: 336.**

5. Nieruchomości poza liniami rozgraniczającymi teren inwestycji, niezbędne do realizacji inwestycji objęte obowiązkiem rozbiórki obiektów budowlanych nieprzewidzianych do dalszego użytkowania, na częściach działek, zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt. 8 lit. c ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych

• **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 68, 4/22 (4/4), 4/24 (4/10), 5/13 (5/9), 177/1, 174/12 (174/9), 7/20 (7/5), 7/18 (7/8), 3/7 (3/4);**
• **obrzeb 0015 Koźmice Wielkie: 336, 362/2 (362), 376/2 (376), 355, 382/26 (382/11), 361/1, 378/2, 382/22 (382/1).**

6. Nieruchomości poza liniami rozgraniczającymi teren inwestycji, niezbędne do realizacji inwestycji objęte obowiązkiem budowy lub przebudowy urządzeń wodnych lub urządzeń melioracji wodnych szczegółowych, zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. f ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (w odniesieniu do nieruchomości, które podlegają podziałowi – przed nawiasem podano numer działki, która powstaje w wyniku zatwierdzenia podziału i posiada dotychczasowe przeznaczenie, a jej część zostaje objęta ww. obowiązkiem, w nawiasie podano numer działki przed podziałem):

• **obrzeb 0014 Koźmice Małe: 6/10 (6/2), 7/18 (7/8), 7/20 (7/5), 8/2 (8), 23/4 (23/1), 23/6 (23/2), 28/2 (28), 174/12 (174/9);**
• **obrzeb 0015 Koźmice Wielkie: 382/22 (382/1), 336.**

7. Nieruchomości poza liniami rozgraniczającymi, które stanowią tereny wód płynących, zgodnie z art. 20a ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych:

• **obrzeb 0014 Koźmice Małe – 96.**

Jednocześnie zostało wydane postanowienie o nałożeniu na wnioskodawcę obowiązku usunięcia nieprawidłowości występujących w przedłożonym do zatwierdzenia projekcie budowlanym w terminie do 30.06.2026 r.

Zainteresowane strony lub ich pełnomocnicy, legitymujący się pełnomocnictwem sporządzonym zgodnie z art. 32 i 33 k.p.a., mogą zapoznać się z dokumentacją przedłożoną przez wnioskodawcę oraz składać ewentualne uwagi i zastrzeżenia w Wydziale Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatowego w Wieliczce, ul. Słowackiego 29, w godzinach pracy urzędu, tj. pon. 7.30-17.00, wt.-czw. 7.30-15.30, pt. 7.30-14.00.

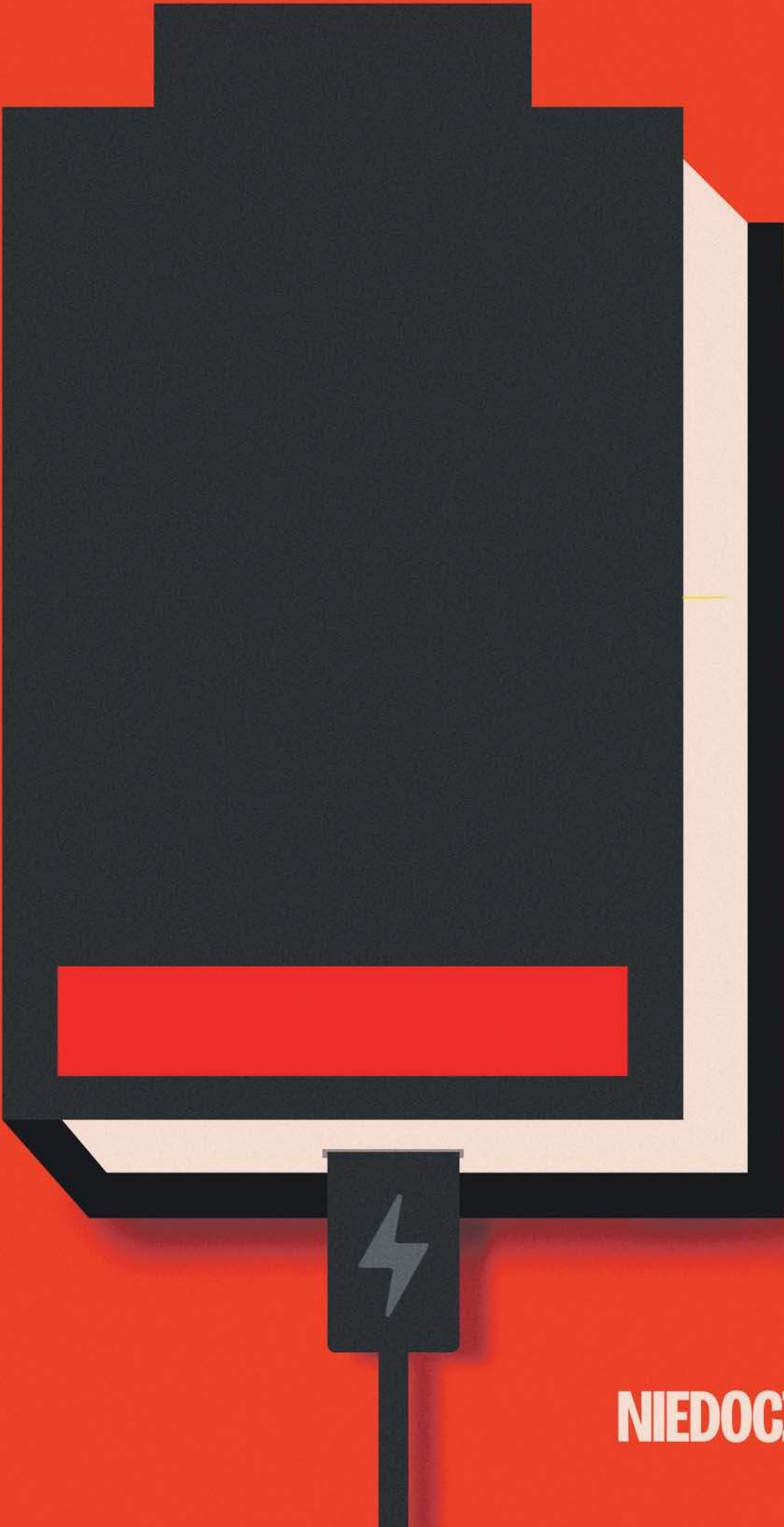
Pisma wnoszone do sprawy można kierować:

- Na adres tradycyjny: Starostwo Powiatowe w Wieliczce, Wydział Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatowego w Wieliczce, ul. Słowackiego 29, 32-020 Wieliczka
- Na adres do doręczeń elektronicznych powiązany z publiczną usługą rejestrowanego doręczenia elektronicznego: AE:PL-88471-63016-WHCUV-16
- Wszelkie pisma można też składać osobiście na Dzienniku Podawczym tut. Urzędu: poniedziałek w godz. 7.30-17.00, wtorek – czwartek w godz. 7.30-15.30, piątek w godz. 7.30-14.00

Doręczenie uważa się za dokonane po upływie 14 dni od dnia publicznego ogłoszenia, tj. ukazania się obwieszczenia na tablicach ogłoszeń oraz w urzędowych publikatorach teleinformatycznych – Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miasta i Gminy Wieliczka i Starostwa Powiatowego w Wieliczce oraz publikacji w prasie lokalnej.

PULS

#215



**NASZE
NIEDOCZYTANIE**

FOTOkomentarz tygodnia



FOT. PAP/PS/PML. KPT. DOMINIK RYBA

6 MAJA, BIEGORAJ. **Potężny pożar spustoszył 500 ha lasu w powiecie biegorajskim. Do jego ratowania skierowano niemal 500 strażaków, wspierały ich wozy, a także śmigłowce i samoloty gaśnicze. Jeden z używanych dromaderów rozbił się w trakcie akcji. Na miejscu pojawił się premier Donald Tusk oraz minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński. Pożar może być konsekwencją pogody. Jak podkreślają eksperci, mamy jedną z najbardziej suchych wiosen po II wojnie światowej. Niska wilgotność powietrza sprawia, że o pożar łatwiej niż zwykle**



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

6 MAJA, WARSZAWA. **Sławomir Mentzen ostro zaatakował szefa Sztabu Generalnego gen. Kukulę, mówiąc, że „nie ma kompetencji, żeby być kapralem”. Po stronie zaatakowanego stanęli prezydent oraz szef MON**



FOT. PAP/PAUL MONTEIRO

6 MAJA, HOLANDIA. **Potwierdzono, że trzech pasażerów wycieczkowca MV Hondius zmarło w wyniku infekcji hantawirusem. Natychmiast zaczęto śledzić ruchy innych pasażerów. A na świecie po raz kolejny pojawiła się obawa przed powrotem sytuacji sprzed kilku lat: pandemii i kwarantanny**



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

4 MAJA, POLSKA. **Praktycznie każdy ma własne wspomnienia z takich chwil jak widoczna na zdjęciu. Różnie się mówi o poziomie matur - ale gdy się ją zdaje, zawsze jest najtrudniejszym egzaminem życia**

DZIENNIK OPINII

Liliana Sonik

NOBLISTKA Z IRANU
MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ

Narges Mohammadi, 54-letnia noblistka, została przewieziona z więzienia do szpitala, gdyż jej stan zdrowia uległ „katastrofalnemu pogorszeniu”. Norweski Komitet Noblowski wezwał irańskie władze do natychmiastowej reakcji. W więzieniu Mohammadi przeszła zawał serca.

Zadziwiające, jak łatwo można się dać zapędzić w kozi róg. Być może to efekt mediów upraszczających. Mam wrażenie, że opinie są dziś formowane na wzór środowisk kibolskich, gdzie rządzi bezwarunkowe za lub równie bezwarunkowe przeciw.

Co prowadzi do sztampowego obrazu świata zgodnego z impulsem chwili.

Już pisałam tu o Iranie. Pisałam, że mają ciekawy system edukacji utalentowanych matematycznie dzieci, że kształcą mnóstwo inżynierów, a większość z nich stanowią kobiety. Inna sprawa, że tylko część z nich po uzyskaniu dyplomu pracuje; pozostałe zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami zajmują się domem. To że Iran jest krajem o niesamowitej historii, że dba o szkolnictwo, nie znaczy, że jest państwem jak inne. Bo nie jest. W preambule do konstytucji zapisano, że misją irańskiej rewolucji islamskiej jest rozszerzenie panowania „prawa bożego” na cały świat. A ich minister już lata temu wyjaśniał, że celem Iranu w Libanie jest „eksport rewolucyjnej kultury islamskiej”. Co mówili, to robili.

17 stycznia 2025 r. - czyli po ataku na Ukrainę - Teheran zawarł Traktat o Wszechstronnym Partnerstwie Strategicznym z Rosją.

Teraz zajmują nas ceny ropy i tłąca się wojna. Kto miałby się przejmować jakąś prawniczką albo noblistką w więzieniu?

Narges Mohammadi jest absolwentką fizyki i laureatką pokojowej nagrody Nobla 2023. W grudniu ubiegłego roku, jeszcze przed krwawo stłumionymi demonstracjami, została kolejny raz aresztowana i skazana na 6 lat więzienia za „narażanie bezpieczeństwa państwa” + dodatkowy rok za „szerszenie propagandy przeciw republice islamskiej”.

Pierwszy raz trafiła do więzienia, mając 22 lata. Kolejny raz została skazana po tym, jak przy grobie Sattara Beheshtiego mówiła: „Jak to możliwe, że parlamentarzyści proponują plan mający na celu promowanie cnót i zapobieganie występkom, a nikt nie zabrał głosu dwa lata temu, kiedy niewinny człowiek o nazwisku Sattar Beheshti zmarł w wyniku tortur zadanych przez przesłuchujących go funkcjonariuszy?”

W ciągu dwu dekad Mohammadi więcej czasu spędziła w więzieniu niż na wolności. Wszystko dlatego, że występuje przeciw karze śmierci i ograniczaniu wolności kobiet.

Jej mąż [po 14 latach więzienia] wyjechał z Iranu, zabierając z sobą dwójkę ich dzieci. Ona została.

Prawnica Nasrin Sotoudeh pierwszy wyrok usłyszała w roku 2010: 6 lat więzienia i 20 lat zakazu praktyki adwokackiej za „szerzenie antypaństwowej propagandy”. Wskutek presji światowej opinii została zwolniona. W słynnym filmie „Taxi-Teheran” tłumaczyła: „Upewniam się, że wiemy, że nas obserwują. Preparują ci dossier: stajesz się agentem Mossadu albo CIA, albo MI6... A potem dodają skandal obyczajowy. Zamieniają twoje życie w więzienie. Jesteś na wolności, ale świat zewnętrzny stał się więzieniem. Z twoich najlepszych przyjaciół robią najgorszych wrogów. Nie masz wyboru i musisz uciekać z kraju albo modlić się o powrót do nory. Więc pozostaje ci tylko jedno: nie martw się!”

Broniła kobiet sądzonych za odmowę noszenia chusty, więc aresztowano ją za „zgorzelenie” i „rozpowszechnianie fałszywych informacji”. Została skazana na 33 lata więzienia i 148 uderzeń biczem. Rodzina nie wie, co się z nią dzieje.

Emblematycznych postaci prześladowanych za niewystarczające posłuszeństwo są w Iranie setki. I dziesiątki tysięcy więzionych pod byle pretekstem, torturowanych, czasem skazanych na śmierć.

Rzeczywistość tę naświetliła w rozmowie z Rafałem Strzelcem prof. Anna Krasnowolska, iranistka z Instytutu Filologii Orientalnej UJ: „... Co kilka dni pojawiają się informacje o kolejnych egzekucjach. Są to wyroki wydawane np. pod pretekstem szpiegostwa na rzecz Izraela. O szpiegostwo można zostać oskarżonym choćby za korzystanie z systemu Starlink, utrzymywanie kontaktów internetowych, słuchanie zagranicznych rozgłośni czy używanie określonych mediów. To już może prowadzić do posądzenia o kolaborację i szpiegostwo”.

„...Liczba wyroków śmierci jest bardzo duża. Wydają je sądy karne, a w sprawach politycznych i w przypadku uczestników protestów - sądy rewolucyjne. [...] Szczególnie drastyczne są przypadki młodych ludzi, którzy otrzymują wyrok przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Tacy nastolatki przebywają w więzieniu do momentu osiągnięcia pełnoletności, a następnie zostają straceni. Podobnie traktowane są kobiety w ciąży. Wykonanie wyroku odracza się do czasu porodu oraz na krótki okres karmienia piersią. Następnie dziecko zostaje im odebrane, a kara wykonana”.

Kiedy więc pochylacie się Państwo ze współczuciem nad niedolą irańskich władz, pomyślcie, czy na współczucie zasługują.

Arlena Sokalska

KONSTYTUCYJNA ZAGRYWKA



Prezydent Nawrocki w dniu święta konstytucji grzmiał o oddawaniu władzy narodowi, w domyśle jemu samemu, bo to on uzyskał od narodu mandat w wyborach powszechnych. Z tym mandatem nie przesadzałabym w przypadku głowy państwa. Bo podobny mandat uzyskała w powszechnych wyborach rządząca koalicja. Przy trochę wyższej frekwencji (dodajmy - rekordowej). A i prezydent Nawrocki swój mandat uzyskał przewagą niesłuchanie małą. Co oznacza, że tych pozostałych 10 milionów wyborców wcale tym mandatem obdarzyć go nie chciało.

Ale według prezydenta nastał w tych okolicznościach „moment konstytucyjny”, który oznacza, że za zmianę konstytucji brać się należy. I powołał radę, która pewnie raz na jakiś czas zbierać się będzie. Tyle tylko że żadnego „momentu konstytucyjnego” nie ma - bo nie ma większości konstytucyjnej, pozwalającej zmienić ustawę zasadniczą. I dziś wszystko wskazuje na to, że po następnych wyborach parlamentarnych takiej większości też nie będzie.

Po co więc prezydent grzmi o konieczności zmian konstytucji? Bo - tu cytuję - „Tak dalej być nie może, że władza w Polsce rozkłada się na dwa ośrodki”. Owszem, mieliśmy różne konflikty na linii prezydent-premier. Zaczęło się od „szorstkiej przyjaźni” między premierem Leszkiem Millerem a prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, a potem było jeszcze gorzej. A teraz jest otwarta wojna.

Dlaczego? Bo prezydent nie skupia się na niczym innym, jak rzucaniu kłód pod nogi rządowi i wetowaniu wszystkiego - łącznie z ustawą o SAFE, czy kryptowalutach (dwukrotnie). Rozumiem, kiedy prezydent wetuje ustawę, dzięki której bezdzietne małżeństwo mogłoby zakończyć formalny związek bez konieczności stawienia się w sądzie. Takie prezydent ma poglądy, trudno. Ale wetowanie ustaw dotyczących kwestii obronności Polski czy odporności na szachrajstwa rynku kryptowalut?

Do tego dochodzi retoryka prezydenta, bo wciąż mówi o premierze Tusku jako „najgorszym premierze w historii”. Nawet jeśli tak uważa, powinien owe myśli zachować dla siebie - właśnie w myśl tego, co jest istotą konstytucji z 1997 r., zakładającej pewną równowagę między ośrodkami władzy, choćby przez próbę nawiązania „szorstkiej przyjaźni” i jakiegoś rodzaju trudnej współpracy jak z kadencji Andrzeja Dudy.

Tak, twórcy obowiązującej konstytucji (która pisana była ładnych parę lat) najpierw ograniczali prawa prezydenta, bo był nim Lech Wałęsa, a potem je zwiększali, bo został nim Aleksander Kwaśniewski.

A ja jestem za systemem kanclerskim. Najlepiej byłoby, gdyby w Polsce nie było prezydenta wybieranego przez Polaków w wyborach powszechnych, powinno to robić Zgromadzenie Narodowe. Wymagałoby to też politycznego wysiłku, bo musiałby to być polityk kompromisu, na którego zechciałoby głosować 2/3 posłów i senatorów. Byłaby to ciekawa figura polityczna - rodzaj autorytetu, który reprezentowałby Polskę za granicą.

Ale nic takiego się nie zdarzy za mojego życia, bo żaden - ani obecny, ani przyszły - prezydent nie podpisałby ustawy, która kończyłaby jego kadencję.

A tak na koniec. Po co prezydentowi Nawrockiemu wyciąganie sprawy zmiany konstytucji? Bo będzie to jeden z tematów jego kampanii wyborczej w 2030 r., a i pewnie tych parlamentarnych w 2027. Szykujemy się na ostrą polityczną nawałankę.

Adam Bula

FINAŁ SEZONU PRAWYCH FIKOŁKÓW



Ale wiecie, że za chwilę skończą się premierowe odcinki najpopularniejszych dziś polskich seriali z uniwersum, gdzie „Pierwsza miłość” jest „Na dobre i na złe”, bo różne są „Barwy szczęścia”, gdy gra się w „M jak miłość”. Dokładnie tak jest w naszym uniwersum politycznym, gdzie czekają nas finały sezonów seriali pt. „SAFE jest w pustym sejfie”, OZE jest sroze” a „Zondacrypto jest ok”.

Na miejscu scenarzystów, szykujących się na zapadające widzom w pamięć zakończenia, brałbym jednak pod uwagę pewną nową okoliczność. Mianowicie, hitem tego sezonu była krótką, puszczana zaledwie przez 9 dni telenowela pt.: „Streaming Łatwoganga na rzecz dzieci chorych na raka”. Otóż wyróżniała się ona tym, że ... nic w niej nie było udawane. W absolutnej kontrze do świata wyobrazonego polskich seriali telewizyjnych i politycznych. Serialowa Hanka Mostowiak (Małgorzata Kożuchowska) przeżyła w ciasnej kawalerce Łatwoganga centralne zderzenie ze stosem kartonów i można tę scenę traktować jako ikoniczny symbol przepaści między światami.

Śledząc zaś fabuły politycznych seriali mam wrażenie, że ich scenarzyści wiedzą już, że przeszarżowali z nierealnymi zwrotami akcji, ale - z braku lepszego pomysłu - chcą na wariata dociągnąć to do końca. „Seriali lub widzów” - że się podeprę prezydentem podpierającym się cytatem z ubeka.

Jak to więc będzie wyglądać? Weźmy szefa prezydenckiej kancelarii, Zbigniewa Boguckiego, który w tym sezonie zyskał sławę pierwszego harcownika prawicy, wykorzystując sejmową mównicę do ostrego atakowania rządu i premiera. Słucham jego ostatnich wystąpień i widzę w jego oczach, że on już nie tylko wie, że ostro bredzi. On już wie, że my wiemy, że on bredzi, tylko jeszcze nie ma u nas kultury, by ktoś przytomny krzyknął z tłumy: hej gościu, jesteś nagi i strasznie prdl.

W każdym razie może i polska prawica brała bezpośrednio lub korzystała pośrednio, z Karolem Nawrockim na czele, z kasy od kryptoaferzysty z firmy Zondacrypto, ale podwójne weto

ustawy, dającej szansę na walkę z kryptooszustami nie miało z tym coś wspólnego. W dodatku pierwsze weto prezydenta było zanim się on od rządu w grudniu dowiedział, że z Zondacrypto jest coś nie tak. Skąd było drugie weto na wiosnę? Bo ustawa była za długa, mając ponad 100 stron zbyt szczegółowych dla branży krypto przepisów.

Że prezydent po pierwszym wecie miał złożyć „w ciągu kilku dni” swój projekt ustawy? No to przecież go złożył, tyle że wczoraj (6 maja). Że ta ustawa ma też ponad 100 stron, bo jest po prostu przepisana z tej wetowanej i tylko dodano dwa nowe przepisy (na korzyść ewentualnych oszustów zresztą) - no i po ... drażyć. Kartony nie kartony, musi wyjść na nasze.

Hitem sezonu pozostaną jednak fikołki przyszłego premiera z własną instalacją fotowoltaiczną: bo i temat łatwiejszy i w sumie sprawa nie tak poważna. „OZE-sroze jest złe”, więc Przemysław Czarnek zdemontuje ze swojego domu panele, jak się okazało, że kiedyś je założył. Bo się wtedy z tego nie cieszył, a w dodatku dom nie jest jego. W ogóle to je założył, bo prąd ciągle drożał (w końcu to było w 6. roku rządów PiS, ale on był wtedy na „innym odcinku”). A teraz jednak ich nie zdejmie, bo prąd znowu jest coraz droższy, więc je zdejmie, jak będzie tańszy, czyli jak znów będzie rządził PiS, przez którego rządy je założył. Nie zdejmie ich, choć „się słyszy”, że są one bardzo niebezpieczne. Bo w ogóle sprawa dotyczy tylko takich jak on, których na panele było stać, choć w sumie to nas było stać, bo Czarnek skorzystał z unijnego dofinansowania i zapłacił tylko 8 tys. zamiast ponad 20. W finałowej scenie i tak wybrzmi jednak ostatnie zdanie bohatera, że „Unia jest zła”.

To tylko rozgrzewki przed czekającym nas już w najbliższy weekend finałem serialu „SAFE 0 %”. Rząd podpisze umowę na miliardy z Unii dla armii, i „załadź nas na pokolenia”, bo jak PiS załadź nas z tej samej okazji wcześniej na 400 mld, to się nie liczy. I nieprawda, że tamte pożyczki były na gorszych warunkach, zwłaszcza że wtedy wcale nie padało.

Ale najgorsze jest to, że Tusk zdradza Amerykę i nie chce u niej kupować uzbrojenia, tylko da tę całą kasę Niemcom, a że nic u nich jeszcze nie zamówił, to wiadomo, że to jest spisek.

No bo czego wy właściwie nie rozmicie? Te fabuły są dla widzów, którzy nie mieli nigdy problemów z tym, że Hanka Mostowiak zginęła w zderzeniu Mazdy 626 ze stosem kartonów...

W polskim interesie jest, żeby amerykańskich żołnierzy w Europie było jak najwięcej, a najlepiej w Polsce.
(...) I my nie wnikamy skąd ci amerykańscy żołnierze mieliby przybyć. W Polsce będą mile widziani.
(...) Zapraszamy ich tu, gdzie jest prawdziwe zagrożenie, 250 km stąd

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifestie czytelnictwa z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszym kontakcie dziecka z językiem? Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronau-

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czapryn



Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNAĆ

kowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuję się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczy-

wiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać

dzieci. Sprawiać, żeby pannały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszyst-

kich jako wspólnoty. Pomagają nam to na wielu poziomach. Wspominałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mō-

więc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę. Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wróć do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wcześnie dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze - to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była miłowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obniżenie równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przy najmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwyczajne, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demo-

kratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo źle. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co również ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukato-

rów i przedstawiciele Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuję: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książkę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce

mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatricznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatricznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się

książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przed wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading - czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: nieśpieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płyną-

cych z rozmowy i czytania z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski Book Trust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powiedzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV



FOT. MATPRAS.

Maria Deskur

Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki.

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i cioćie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starszy jej na laptopa lub na konsolę? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalią się, że dostaną w prezencie quady czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójda do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamila Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunია córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przerażała ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

- Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podłódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tam-

tym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

- Gdy nie ma alb, od razu wiadać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate - przekonuje z kolei Kamila Łuczak. - Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii - wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokończyć korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypadła przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytych ramionach. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież

mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiały się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

- Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb - mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. - Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat temu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej dynaczce?

- U nas ta komunია przebiegła normalnie - wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą kareta czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zjechała piękną, białą kareta. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Karetą pod kościół w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną kareta zjechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedną z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajął kareta za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona - dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach - opowiada populary „Tomek”. - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem

bowiem z tych „Karguli”, którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy - opowiada „Tomek”. - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie!

Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki - wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założy-

łem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta ukłękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszą raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zaczerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka” i rower „Wigry”.

- Najbardziej cieszył mnie rower - mówi Łodziańska. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żał mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przypomina, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

**MOJA RODZINA POCHODZIŁA
Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘ-
CIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA
50., BYŁO BARDZO HUCZNE –
OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI**

INFORMATOR

Harmonogram prac i oddawania kolejnych etapów inwestycji KST IV





Tramwaj do Mistrzejowic

Szanowni Mieszkańcy,

budowa linii tramwajowej KST IV do Mistrzejowic dobiega końca. Prace prowadzone równolegle w wielu częściach miasta wchodzi dziś w ostatni etap, a ich efekty będą coraz bardziej widoczne w najbliższych tygodniach. Sukcesywnie otwieramy kolejne odcinki ulic, chodników i dróg rowerowych, przywracając przestrzeń mieszkańcom.

W tym informatorze znajdą Państwo zestawienie najważniejszych zmian oraz harmonogram udostępniania poszczególnych fragmentów inwestycji. Rondo Młyńskie, ul. Lublańska czy ul. Meissnera to tylko niektóre z miejsc, które już wkrótce odzyskają swoją pełną funkcjonalność i nową jakość.

Mamy świadomość, że ostatnie miesiące były dla Państwa wymagające. Bliskość tak dużej inwestycji wiązała się z codziennymi utrudnieniami, dlatego tym bardziej dziękujemy Państwu za cierpliwość.

Możemy już powiedzieć, że widać „światelko w tunelu” — finał prac drogowych jest coraz bliżej. Już niedługo Prądnik Czerwony i Mistrzejowice zyskają odnowione ulice, chodniki i drogi rowerowe oraz bardziej uporządkowaną organizację ruchu, co ułatwi codzienne przemieszczanie się i podniesie jakość przestrzeni w tej części Krakowa.

Dziękujemy Państwu i prosimy jeszcze o odrobinę wyrozumiałości. Zachęcamy do zapoznania się z dalszą częścią informatora.

Z poważaniem,
Zespół Budowy Tramwaju do Mistrzejowic

Projekt KST IV – Tramwaj do Mistrzejowic to jedna z najbardziej złożonych inwestycji transportowych realizowanych w Krakowie w ramach systemu Krakowski Szybki Tramwaj oraz największy projekt infrastrukturalny w formule PPP w Europie.

Obejmuje budowę około 4,5 km nowej linii tramwajowej, której kluczowym i najbardziej wymagającym elementem jest ponad 1,2-kilometrowy tunel wykonywany metodą podstropową z wykorzystaniem ścian szczelinowych. Tunel umożliwi bezkolizyjne przeprowadzenie tramwaju pod jednym z najbardziej obciążonych układów komunikacyjnych w tej części miasta. Przy Rondzie Młyńskim linia znajdzie się na poziomie -1, by następnie zagłębić się jeszcze niżej i na stacji przy Rondzie Polsad osiągnie poziom -2.

Właśnie tam powstaje trójpoziomowy węzeł przesiadkowy: na poziomie terenu funkcjonować będzie ruch kołowy i wejścia do stacji, poziom -1 stanie się bezpieczną, w pełni dostępną przestrzenią pieszą umożliwiającą przejście na każdą stronę skrzyżowania, natomiast poziom -2 przeznaczony będzie dla peronów tramwajowych.

Obie stacje podziemne zostaną wyposażone w windy, schody ruchome, pochylnie oraz systemy naprowadzające dla osób niewidomych. Tunel zakończy się w rejonie Ronda Barei, zapewniając płynne wyprowadzenie linii z części podziemnej na odcinki naziemne. Realizacja wymaga budowy zaawansowanych systemów odwodnienia, przepompowni wód opadowych, instalacji wentylacyjnych, trakcyjnych i bezpieczeństwa, co dodatkowo podkreśla skalę przedsięwzięcia.

KST IV to jednak nie tylko sama linia tramwajowa z tunelem, lecz kompleksowa przebudowa układu drogowego, budowa nowych chodników i dróg rowerowych oraz inwestycja w zieloną infrastrukturę – zielone torowiska z matami rozchodnikowymi, nowe nasadzenia drzew i krzewów oraz przystanki z zielonymi dachami. Całość tworzy nowoczesny, bezkolizyjny i zrównoważony transport północno-wschodniej części miasta.

Tramwaj do Mistrzejowic



Czym jest PPP?

PPP, czyli Partnerstwo Publiczno-Prywatne, to model realizacji inwestycji oparty o wieloletnią współpracę podmiotu publicznego (np. miasta, gminy) z partnerem prywatnym. Korzyści, ale i odpowiedzialność wynikająca z tej współpracy jest podzielona między obie strony zgodnie z zawartą umową. Dzięki temu modelowi zamawiający (miasto) nie obciąża finansów publicznych, rozkładając płatność na wieloletnią współpracę z partnerem prywatnym.

Najczęściej przekazując teren pod inwestycję może liczyć na finansowanie projektowania, budowy i późniejszego utrzymania przez partnera prywatnego (w naszym przypadku 20 lat utrzymania). Krakowski model PPP przy KST IV zakłada płatność za dostępność infrastruktury. Oznacza to, że miasto będzie płaciło określoną kwotę sukcesywnie, jeśli infrastruktura będzie utrzymana w odpowiednim standardzie i przejezdna dla ruchu tramwajowego. Minimalizuje to przerwy w funkcjonowaniu ruchu tramwajowego na tej linii.

Zastosowanie PPP maksymalizuje wykorzystanie doświadczenia strony prywatnej do budowy nowoczesnej infrastruktury oraz obniża koszty inwestycji w całym cyklu jej życia.



Wizualizacja: skrzyżowanie ul. Mogińskiej, Meissnera, al. Jana Pawła II



Tramwaj do Mistrzejowic



Wizualizacja: Rondo Młyńskie



Wizualizacja: Rondo Półsad

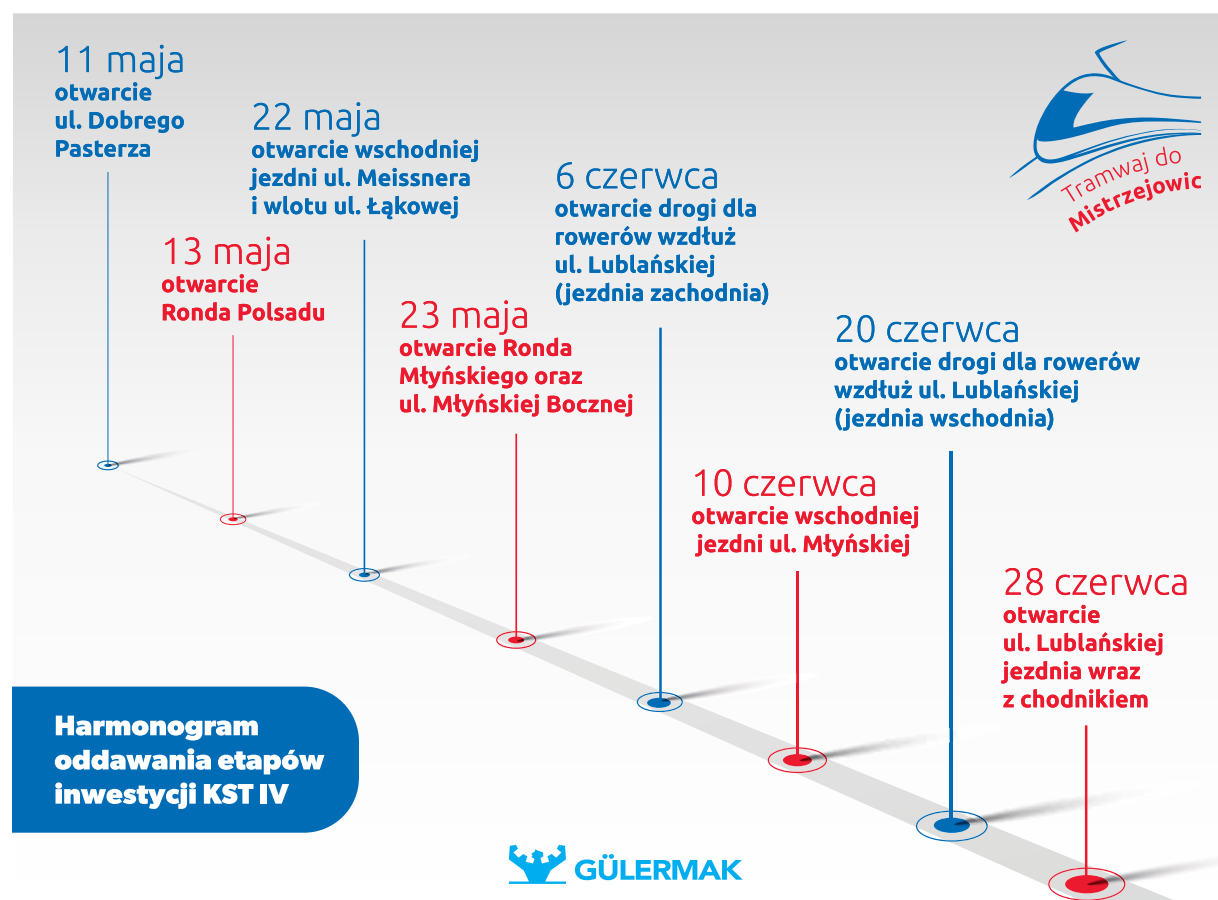
Tramwaj do Mistrzejowic



Wizualizacja: Pętla Mistrzejowice

Harmonogram udostępniania kolejnych etapów inwestycji

Trwa intensywna faza robót infrastrukturalnych na budowie Tramwaju do Mistrzejowic. Prace toczą się równolegle w wielu lokalizacjach i wchodzi w etap finalizacji. Już w najbliższych tygodniach mieszkańcy odczują realne efekty finalizacji robót. Sukcesywnie otwieramy kolejne fragmenty ulic, chodników i tras rowerowych. Przedstawiamy harmonogram udostępniania poszczególnych odcinków do ruchu w maju i czerwcu.





Tramwaj do Mistrzejowic

11 maja – otwarcie ul. Dobrego Pasterza



Otwarcie ul. Dobrego Pasterza na odcinku od kościoła pw. Jana Chrzciciela do Ronda Barei. Zakres prac obejmował kompleksową wymianę konstrukcji nawierzchni wraz ze wzmocnieniem podłoża, prace remontowe na kanalizacji deszczowej i sanitarnej oraz wymianę studzienek kanalizacyjnych.

13 maja – otwarcie Ronda Polsad

13 maja otwarcie Ronda Polsad w ruchu okrężnym, co oznacza likwidację ronda tymczasowego u zbiegu ul. Lublańskiej i al. Bora-Komorowskiego. Kierowcy będą mieć dostępny jeden pas ruchu. Rondo będzie przejezdne, ale do 20 czerwca prowadzone będą jeszcze prace wykończeniowe związane z jego ostatecznym kształ-



tem. Chodzi o tzw. geometrię ronda, czyli docelowy układ pasów ruchu, krawężników, wysp dzielących i zjazdów. Są to elementy, które poprawiają płynność i bezpieczeństwo jazdy, ale ich wykonywanie może chwilowo powodować zwężenia jezdni lub krótkie utrudnienia. Wraz z udostępnieniem ronda, ruch pojazdów zostanie przełożony na wschodnią jezdnię ulicy Lublańskiej. W tym czasie będziemy prowadzić prace na odcinku jezdni zachodniej od ul. Promienistych do Ronda Polsad.

22 maja – otwarcie wschodniej jezdni ul. Meissnera i wlotu ul. Łąkowej

22 maja udostępniemy do ruchu wschodnią jezdnię ul. Meissnera wraz z wlotem ul. Łąkowej. Żeby było to możliwe, od 30 kwietnia będą trwać tam prace wykończeniowe przy drodze i jej najbliższym otoczeniu. Po-

wstaną nowe chodniki, a sama jezdnia otrzyma kolejne warstwy asfaltu. Najpierw układana będzie warstwa bitumiczna, która wzmacnia konstrukcję drogi i przenosi obciążenia od samochodów, a następnie warstwa ścieralna, czyli górna, gładka nawierzchnia, po której odbywa się ruch. Równolegle kończona będzie budowa drogi dla rowerów na odcinku od al. Jana Pawła II do Ronda Młyńskiego, co planowane jest do 20 maja. Wszystkie prace bezpośrednio związane z nawierzchnią jezdni zostaną zakończone jeszcze przed jej otwarciem, jednak w trakcie robót mogą pojawiać się przejściowe utrudnienia zarówno dla pieszych, jak i kierowców.



23 maja – otwarcie Ronda Młyńskiego i ul. Młyńskiej Bocznej

23 maja otwieramy Rondo Młyńskie dla ruchu samochodowego. Kierowcom zostanie udostępniony jeden pas ruchu. Zanim rondo zostanie w pełni

Tramwaj do Mistrzejowic



otwarte, wykonawca zakończy prace niewidoczne na pierwszy rzut oka, ale kluczowe dla trwałości drogi. Chodzi o kanalizację sanitarną biegnącą pod jezdnią i na „wyspie” ronda oraz roboty ziemne po północnej stronie, czyli przygotowanie konstrukcji nawierzchni asfaltowej. Dokończone zostaną także chodniki i drogi dla rowerów. W trakcie tych końcowych prac mogą wystąpić czasowe utrudnienia w ruchu.

23 maja otworzymy również ul. Młyńską Boczną dla ruchu kołowego, po wykonaniu pełnej konstrukcji drogowej na skrzyżowaniu z ul. Młyńską. W ramach prac powstaną także chodniki.

6 czerwca – droga dla rowerów wzdłuż ul. Lublańskiej (jezdnia zachodnia)

6 czerwca udostępnimy drogę dla rowerów wzdłuż ul. Lublańskiej (jezdnia zachodnia), a do 14 czerwca zakończymy tam prace konstrukcyjne i na-

wierzchniowe, w tym roboty brukarskie w rejonie wyjścia ze stacji przy Rondzie Polsad. W czasie prac związanych z układaniem chodników i asfaltowaniem mogą występować utrudnienia dla pieszych.



10 czerwca – otwarcie wschodniej jezdni ul. Młyńskiej



10 czerwca udostępnimy wschodnią jezdnię ul. Młyńskiej wraz z chodnikami i drogą dla rowerów. W tym czasie zrealizujemy kompleksowe roboty budowlane obejmujące prace konstrukcyjne i nawierzchniowe, w tym wykonanie chodników i dróg dla rowerów. W trakcie prac możliwe są utrudnienia w ruchu lokalnym i dla pieszych.

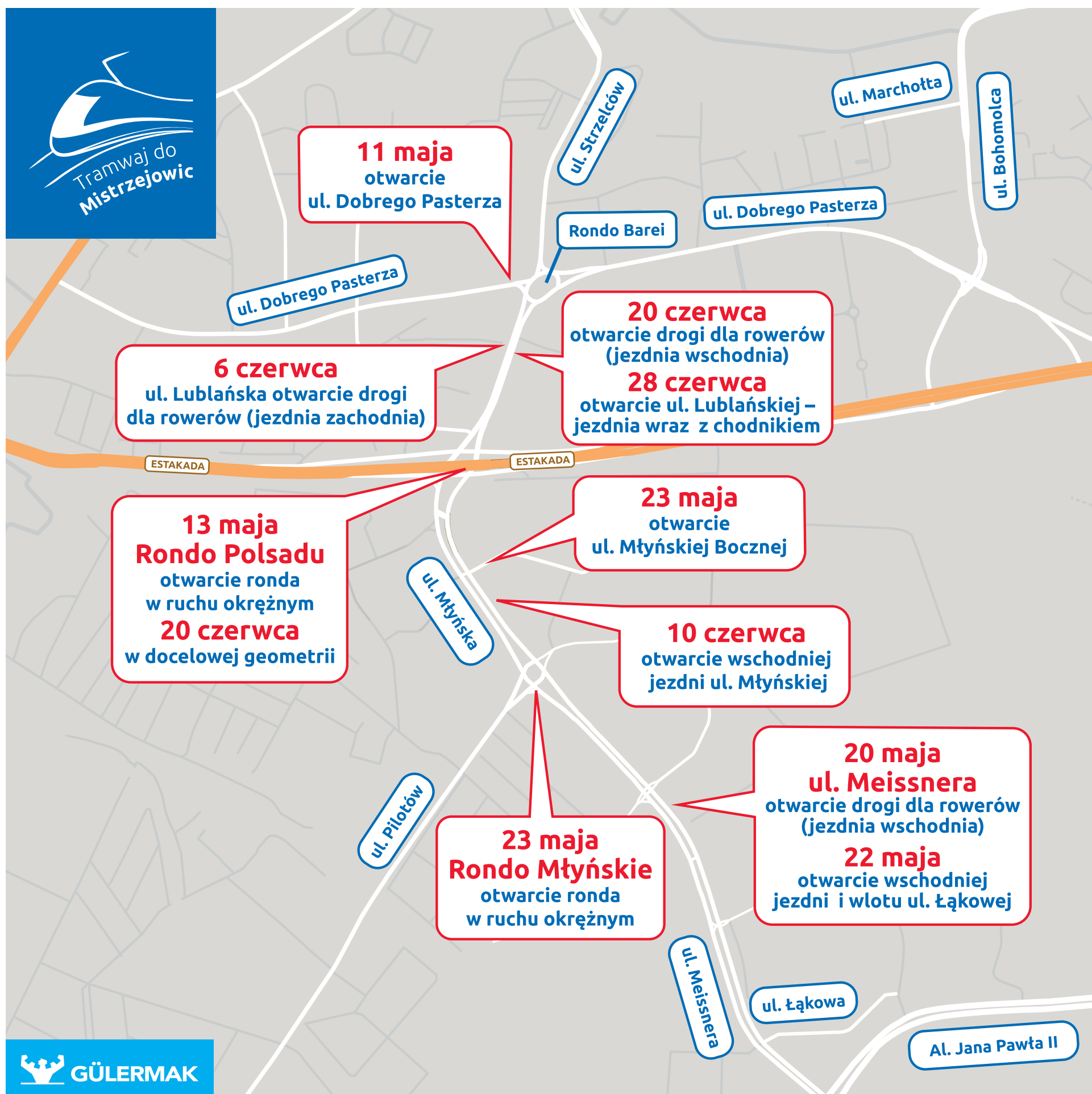
20 i 28 czerwca – ul. Lublańska (jezdnia wschodnia)



Do 20 czerwca zakończymy budowę drogi dla rowerów wzdłuż ul. Lublańskiej (jezdnia wschodnia), natomiast do 28 czerwca otworzymy samą jezdnię wraz z chodnikami. W tym czasie będziemy prowadzić roboty związane z wykonaniem nawierzchni drogowej i pieszej.



Tramwaj do Mistrzejowic





Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukаныmi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek - wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczevska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie” kupiła białą kremplinę za wcześniej mozoliście odkładane dolary. Suknię szyla jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie”. Jeździły na przyimiarki na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu - wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione

w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi - opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachował się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem - wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam żebym dostał jakiś prezent.

Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę”. Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrantem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże - wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości - mówi. - A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunie wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheści się trudzą, a wielu rodziców spłaszca całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheści. Dla większo-

ści rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Dprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia - rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Ekspozowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana - opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłam rozproszony, rozglądałam się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radiodziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

– Zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie – mówi Alina Gabrel-Kamińska z Białegostoku, fotografka porodowa

Urszula Śleszyńska

SFOTOGRAFOWAŁA JUŻ 30 PORODÓW I PRZY KAŻDYM MOCNO SIĘ WZRUSZA

Poród to bardzo intymny moment w życiu zarówno kobiety, jak i całej rodziny. Jak to się stało, że zaczęłaś w tę intymność wchodzić z aparatem?

To było 10 lat temu, w 2016 roku, ponad rok po porodzie mojego drugiego dziecka. Miałam depresję poporodową, problemy z karmieniem, więc szukałam wsparcia na kręgach kobiet. Robiłam zdjęcia na tych spotkaniach. Później zaczęłam też fotografować kobiety karmiące i jedna z mam, która była w pierwszej ciąży, spytała się, czy bym zrobiła reportaż z jej porodu. Od razu się zgodziłam. I od razu wsiąknęłam w tę tematykę. To był poród domowy, podczas którego płakałam jak bóbr, razem z rodzicami. Miałam bardzo trudne warunki, bo była noc i tylko kilka świeczek. Rodzice nie wyrazili zgody na publikację tych zdjęć, więc nie mogłam się pochwalić, że byłam przy porodzie. Ale te emocje, ta adrenalina, te endorfiny – tego nie da się porównać do niczego innego.

Ile porodów już sfotografowałaś?

Około trzydziestu.

Nie jesteś jedyną fotografką porodową w Polsce.

Kiedy zaczynałam 10 lat temu, było nas może trzy osoby, w tym jeden mężczyzna. Dziś w Polsce jest coraz więcej fotografek i fotografów porodowych.

Myślisz, że kobietom jest łatwiej fotografować porody niż mężczyznom?

Tak, wydaje mi się, że kobietom jest łatwiej. Poród to bardzo intymny moment. Ja zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie. I myślę, że łatwiej jest zrobić takie zdjęcie mi, czyli kobiecie, która też już rodziła, niż mężczyźnie. Mój pierwszy osobisty poród był naturalny, a drugi – za pomocą cesarskiego cięcia, więc



FOT. MAGDALENA WŁASZEK

– Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś takiego, co warto zatrzymywać w pamięci – mówi Alina Gabrel-Kamińska

mam różnorodne doświadczenia i myślę, że dzięki temu jest mi łatwiej.

Kiedy podczas porodu najczęściej naciskasz spust migawki?

Trudno znaleźć konkretne momenty. Naciskam spust, kiedy czuję, że te kadry opowiadają całą historię narodzin. Często fotografuję mało oczywiste detale, jak kosmyk włosów spadający na czoło, splecione dłonie rodziców...

Fotografia porodowa to chyba najintymniejsza z istniejących dziedzin fotografii?

Myślę, że tak. Ale wiem, że są też tacy, którzy robią jeszcze bardziej intymną, na przykład zdjęcia w trakcie... poczęcia.

Czy zdarza się, że przygotowująca się do porodu kobieta bardzo chce mieć fotograficzny zapis tego najważniejszego w jej życiu wydarzenia, a jej mąż czy też partner nie chce?

Tak się zdarza. Bywa, że mężczyzna się nie zgadza, bo uważa, że to zbyt intymne. Albo też nie zgadza się na robienie zdjęć w trakcie porodu, bo się boi, że staną na nich pokazane jego ogromne emocje. Ja w takich sytuacjach nigdy nikogo nie namawiam, bo to jest ich poród i to musi być ich wspólna decyzja. Ale przede wszystkim musi być zgoda kobiety, bo to jest jej ciało i jej przestrzeń.

Podczas porodów domowych kobieta i mężczyzna wpuszczają cię do swojej prywatnej przestrzeni i tam, w takiej intymnej atmosferze, z pewnością łatwiej jest fotografować poród niż w szpitalu?

To jest przepaść. Porody domowe to dużo większa swoboda dla rodziców, ale i dużo większa swoboda dla mnie. W domu rodzącą kobietę otaczają bliscy, rodzina i każdy, kogo rodzica zaprosi. Kiedyś tak właśnie wyglądały porody, że była obecna cała rodzina, tworzone kręgi kobiet. I ten poród domowy to jest taki powrót do tych więzi, do wspólnoty, na swoich warunkach. Jest pełna swoboda – rodząca kobieta może chodzić, ruszać się, wyjść nawet na spacer czy też zjeść coś, na co akurat ma ochotę. A w klinice raczej nie jest to możliwe.

W robieniu zdjęć podczas porodów domowych zapewne pomaga ci to, że pracujesz zazwyczaj ze sprawdzonymi położnymi, które dobrze znasz?

Tak. To działa w obie strony. Czasem podpowiedzą, w którą stronę układa się główka dziecka podczas porodu, że bym ją sfotografowała. Ja z kolei mogę podać im coś, czego potrzebują.

Czy bywa, że w szpitalach trafiaś na opór – że rodzice bardzo chcą mieć zdjęciowy reportaż z porodu, ale personel szpitalny nie chce?

Tak. Uzyskanie zgody jest największym wyzwaniem. W jednym ze szpitali uzyskałam zgodę dopiero po bardzo długim staraniu, a w drugim – odmowę. Próbowalam różnymi metodami. To był bardzo długi proces. Myślę, że wiele osób z medycznego środowiska nie ma świadomości, że dla innych poród to nie tylko medyczne procedury, ale również relacje, emocje... Brak zgody na obecność doświadczonego fotografa odbiera rodzicom możliwość zatrzymania w kadrach tak ważnej historii. Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno naro-

dzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś, co warto zatrzymać w pamięci. Kiedyś pani anestezjolog, obecna przy porodzie, zapytała mnie: co pani tu fotografuje? Powiedziałam, że wszystko: relacje, dotyk, nie tylko te czysto medyczne sytuacje. Widać było, że troszkę zrozumiała, ale nie do końca (śmiech). Jeden z lekarzy ginekologów też mnie kiedyś zapytał, co ja chcę fotografować. Przecież tutaj nic nie ma! Krocze pani będzie fotografować? – dziwił się. Pokazałam mu reportaże z porodu domowego i z kliniki. Zobaczył różne momenty, które dzieją się pomiędzy medycznymi procedurami – bliskość, napięcie, emocje, jak tata trzyma mamę za rękę, ale też uchwycony moment, kiedy wszyscy się śmieją, jedzą. I w końcu jak przytulają dziecko.

I jak zareagował?

Powiedział: Teraz wiem, co pani chce fotografować. Po czym zapytał: A jak jest podczas porodu z cesarką? Co pani pokazuje? Odpowiedziałam, że pokazuję pewne elementy procedur medycznych, ale to też jest coś, dzięki czemu kobiety się uczą, osławiają strach, bo widzą, jak to wygląda. Widzą, że to nie jest tak, jak się większości wydaje, że to prosty zabieg. To jest poważna operacja, ale też są przy tym bardzo duże emocje. Fotografuję i mamę, i personel – jeżeli się zgodzi. Te porody – naturalny i za pomocą cesarskiego cięcia – różnią się przede wszystkim szybkością. Bo emocje podczas jednego i drugiego są tak samo duże.

Jednak fotografowanie cesarki jest chyba dużo trudniejsze?

Jest trudniejsze technicznie, bo na sali operacyjnej mogę stać tylko w jednym miejscu i nie wolno mi niczego dotykać – mam więc bardzo ograniczone pole manewru. Jeżeli postawią mnie w miejscu, gdzie nie będę miała dobrego



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

Zdjęcia Aliny Gabrel-Kamińskiej wykonane podczas porodów domowych. Jedna z fotografii – „Released” (powyżej) – zdobyła nagrodę Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP

widoku - to nie zrobię tego, co bym chciała. Ale na razie widzę otwartość w klinice, w której mogę robić porodowe zdjęcia, więc to mnie cieszy. Rozcięcie powłok brzusznych czy wyciąganie dziecka - w emocjach i w kadrach to jest coś pięknego. Na zdjęciach już widać twarz dziecka i to poczucie, że mama zobaczy ją dopiero za chwilę... Maluszka pokazują jej tylko przez moment, dają do pocałowania i zabierają. Ja też wtedy idę na pierwsze spotkanie taty z dzieckiem, kiedy może je zobaczyć i przytulić.

Wspomniałaś o wielkich emocjach rodziców, którym rodzi się dziecko. Ale chciałam też zapytać o twoje emocje - czy łyży u ciebie nadal się pojawiają?

Już mniej, ale przy każdym porodzie mocno się wzruszam. Przy pierwszym porodzie bardzo płakałam, razem z rodzicami. Chłonę te ich emocje, ale staram się też zatrzymywać kadry, fotografować, jak rodzice płaczą. Jakbym sama się rozkleiła, to w ogóle żadnych zdjęć bym nie zrobiła (śmiech).

Ostatnio jedna z twoich porodowych fotografii - „Released” - zdobyła Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP.

Pierwszy raz wysłałam zdjęcia na taki stricte porodowy konkurs. Moja nagroda to dyplom International Association of Professional Birth Photographers. To największe międzynarodowe stowarzyszenie fotografów porodowych z siedzibą w Australii. Moje zdjęcie nagrodzono srebrnym laurem w kategorii Delivery oraz

Members’ Choice Award, które są przyznawane w głosowaniu przez profesjonalne fotografi porodowe z całego świata! Te zdjęcia pochodzą z przepięknego porodu, który miałam okazję fotografować w listopadzie 2025 roku. Mama zgodziła się na publikację tych zdjęć. To był już jej czwarty poród i był wspaniały.

Spotkałaś się wcześniej z tą rodziną, aby omówić zdjęcia?

No właśnie nie. Zazwyczaj umawiam się z rodzicami dużo wcześniej i czekam na telefon z informacją, że poród się rozpoczął, ale na ten poród nie miałam fotograficznego zlecenia. To był trochę inny przypadek. Moja znajoma miała kręcić film na zaliczenie do szkoły o tym, jak się pracuje przy porodach. Byłam tym podekscytowana, tylko musiałam znaleźć rodzącą mamę. Wiedziałam, że do szpitala czy też kliniki nie wpuszczą kolejnej osoby, więc taki poród od razu odpadał. Jednak dzięki zaprzyjaźnionej położnej, która przyjmuje porody domowe, udało mi się znaleźć mamę, której zbliżał się termin porodu. Powiedziałam, że zrobię zdjęcia bez wynagrodzenia, a rodząca mama będzie miała na pamiętkę i zdjęcia, i film. Tylko warunek jest taki, że zgodzi się na publikację. Zgodziła się. Przed porodem rozmawialiśmy przez telefon, wszystko ustaliliśmy i kiedy już dostałam sygnał, że poród się zaczął, zadzwoniłam od razu do tej dziewczyny od filmu. Okazało się jednak, że ją to przerosło i nie zdecydowała się jechać na poród. Byłam na nią zła, ale sama pojechałam. Było już ciemno. Usłyszałam, że w jednym z domów płacze dziecko. Pomyślałam, że się spóźniłam.

Na szczęście okazało się, że to płakało starsze dziecko. Weszłam tam zestresowana, patrzeć - a mama stoi uśmiechnięta i rozmawiają z położną. To był długi, ale i piękny poród. Było dużo śmiechu, a to nagrodzone potem zdjęcie powstało już pod koniec. Asia rodziła bardzo długo, bo skurcze zaczęły się dużo wcześniej. Ja byłam tam koło godziny 20, a ona urodziła po 6 rano i była wykończona. Była tak zmęczona, że nie dała rady stać na nogach - mąż ją trzymał. To nagrodzone zdjęcie wykonałam w momencie, kiedy Asia poczuła już ulgę i mogła odpocząć z tym małym dzieckiem na piersi.

Co jest najpiękniejsze w fotografii porodowej?

Wszystko. To oczekiwanie, te emocje. Nawet nie sam moment porodu, chociaż on jest kulminacyjny. Piękne jest to, jak się to wszystko rozwija. Piękna jest mama, która - mimo że jest jej bardzo trudno - to ma ogromną siłę i robi wszystko, by jej dziecko przyszło na świat. Piękny jest tata, który ją wspiera, a gdy widzi swoje dziecko po raz pierwszy, to płacze. Piękne jest to, że kobiety później mogą zobaczyć na zdjęciach, jak bliscy je wspierali. Nie umiem tego słowami opisywać. Mogę to pokazać na zdjęciach.

Zdarzają się też pewnie trudne chwile?

To te, kiedy nie możesz pomóc... Kiedy widać, że rodzącą mamę bardzo boli, a ja nie mogę nic zrobić. Mogę jedynie trzymać ją za rękę. Co też robię. Czasem więc odkładam aparat i po prostu jestem obok. Trzymam za rękę lub masuję plecy.



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

WITAJCIE NA PLANECIE GRZEGORZA HAJDAROWICZA

Od dziennikarza do milionera – historia Grzegorza Hajdarowicza mogłaby być gotowym scenariuszem filmowym. Dziś dzieli życie między Europę a ukochaną Brazylię, a jednocześnie w niewielkiej miejscowości pod Krakowem buduje futurystyczne, niemal kosmiczne imperium filmowe – Alvernia Planet.

Sławomir Bromboszcz

Polak, który pokochał Brazylię. W przypadku Grzegorza Hajdarowicza to nie tylko efektowny początek historii, ale jej ważny wątek. Bo jego życie rozpięte jest dziś między dwoma kontynentami: Europą i Ameryką Południową. A gdzieś pomiędzy nimi powstaje projekt, który trudno porównać z czymkolwiek innym w Polsce.

Między Rio, Lizboną a Nieporazem

To właśnie w niewielkim Nieporazie pod Krakowem działa Alvernia Planet. To wyjątkowy projekt przypominający „kosmiczne miasteczko”, złożony z futurystycznych kopuł, które dziś można zwiedzać. Ale to nie wszystko. Otwarto tam największe w Europie kino sferyczne. Seanse w nim to prawdziwe doświadczenie, a zamiast biernego widza pojawia się uczestnik.

Zanim jednak pojawiły się milionowe inwestycje, była długa droga zawodowa. Grzegorz Hajdarowicz urodził się w 1965 roku w niewielkich Krapkowicach na Opolszczyźnie. Na przełomie lat 80. i 90. pracował jako dziennikarz – zarówno w Nowym Jorku, jak i w Krakowie. Był też zaangażowany politycznie jako radny miasta.

Przełom przyszedł w 1991 roku, kiedy założył firmę Gremi. Początkowo zajmowała się dystrybucją produktów farmaceutycznych, ale z czasem przekształciła się w rozbudowaną grupę inwestycyjną, działającą w obszarach kapitałowych, nieruchomościowych i medialnych.

Dziś Hajdarowicz jest głównym udziałowcem grupy kontrolującej m.in. spółkę giełdową KCI S.A. i rozwijającej projekty w Polsce i za granicą.



Grzegorz Hajdarowicz



Artystyczna dusza

Równolegle rozwijała się jego działalność filmowa. Od 2003 roku, poprzez spółkę Gremi Film Production, zaangażował się w produkcję fil-

mów – zarówno polskich, jak i międzynarodowych.

Na koncie ma m.in. „Zakochanego anioła”, „Hanień”, „Pod powierzchnią”, ale też zagraniczne produkcje, jak „Nightwat-

ching” Petera Greenaway’a czy „City Island”. Jednym z ważniejszych momentów była obecność jego filmu na Tribeca Film Festival, gdzie jak wspomina, publiczność nagrodziła go długimi owa-

cjami na stojąco. Dziś idzie krok dalej. Z roli producenta przesiada się na stołek reżysera. – Pojechałem do szkoły do Nowego Jorku i uczyłem się, jak reżyserować filmy dokumentalne. Czy uważałem na lekcjach? To ocenią widzowie – mówi Grzegorz Hajdarowicz.

Jego debiutancki dokument „My way to paradise”, realizowany w Brazylii, to początek trylogii. Film miał swoją premierę podczas Off Camera Festival w Kinie Pod Baranami już 2 maja. – Film jest taki artystyczny, trochę medytacyjny, ale jest trochę akcji. Zdjęcia realizowane były w Brazylii w Rio i w północnej Brazylii.

W przypadku Grzegorza Hajdarowicza wątek Brazylii nie jest dodatkiem do biografii. To wielka miłość. A wszystko zaczęło się w 2005 roku i, jak sam przyznaje, było natychmiastowe: – Trudno nie kochać Brazylii. Ja się zakochałem od razu – wspomina.

To nie była jednak chwilowa fascynacja egzotyką. Hajdarowicz szybko zaczął dostrzegać coś, co paradoksalnie czyni ten odległy kraj zaskakująco bliskim Polsce. W jego opowieści Brazylia to nie „inny świat”, lecz raczej lepsza wersja naszej rzeczywistości. Jak mówi, Brazylijczycy przypominają mu Polaków – tylko w bardziej „nasłonecznionej” odsłonie:

– To są tacy Polacy, tylko z większą ilością słońca. Więcej się uśmiechają, mają więcej sympatii do ludzi. Jak ludzie się uśmiechają, to od razu tworzy się lepsza atmosfera – dzieli się swoimi spostrzeżeniami.

Hajdarowicz świadomie polemizuje też z obrazem Brazylii, jaki funkcjonuje w globalnej kulturze. Filmy takie jak City of God czy Tropa de Elite – swoją drogą, przy jednym z nich sam był dys-

trybutorem w Polsce – zbudowały narrację opartą na przemocy i chaosie. – To najłatwiej pokazywać – strzelaniny gdzieś w Rio – zauważa.

Tymczasem jego osobiste doświadczenia są zupełnie inne. Spędza w Brazylii nawet pół roku i nie spotkało go nic z tych rzeczy. – Nie mam żadnych ran postrzałowych ani ciętych. Nikt mi nic nie ukradł. Raz zgubiłem zegarek i ktoś mi go oddał – wspomina.

Oczywiście nie idealizuje rzeczywistości – zaznacza, że pewne miejsca rządzą się swoimi prawami. Ale podkreśla też, że codzienne życie w Brazylii jest znacznie bardziej normalne i bezpieczne, niż sugerują medialne obrazy. – Pewno jak się idzie do faweli w Rio de Janeiro kupić narkotyki, to mogą zastrzelić. No ale ani tam nie chodzę, ani narkotyków nie używam – dodaje.

W jego narracji pojawia się też ważny kontekst geopolityczny. Brazylia jawi się jako kraj stabilny, spokojny, z ogromnym potencjałem rozwojowym. – Dzisiaj, kiedy w różnych częściach świata dzieją się konflikty, tam właściwie nic się nie dzieje. Jest spokój – podkreśla.

Z czasem relacja z Brazylią przestała być sezonowa. Stała się elementem stylu życia. Hajdarowicz dzieli dziś swój czas między Europą a Ameryką Południową – mniej więcej pół na pół. Kluczową decyzją była przeprowadzka do Portugalii po pandemii COVID-19. To ruch, który – jak sam przyznaje – miał bardzo praktyczny wymiar. – Ustawiłem się tak, że mam blisko tu i tu. Do Brazylii mam jakieś sześć i pół godziny, do Krakowa cztery – wylicza.

Wejście głębiej w brazylijską rzeczywistość wymagało też opanowania języka. Hajdarowicz nauczył się portugalskiego



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

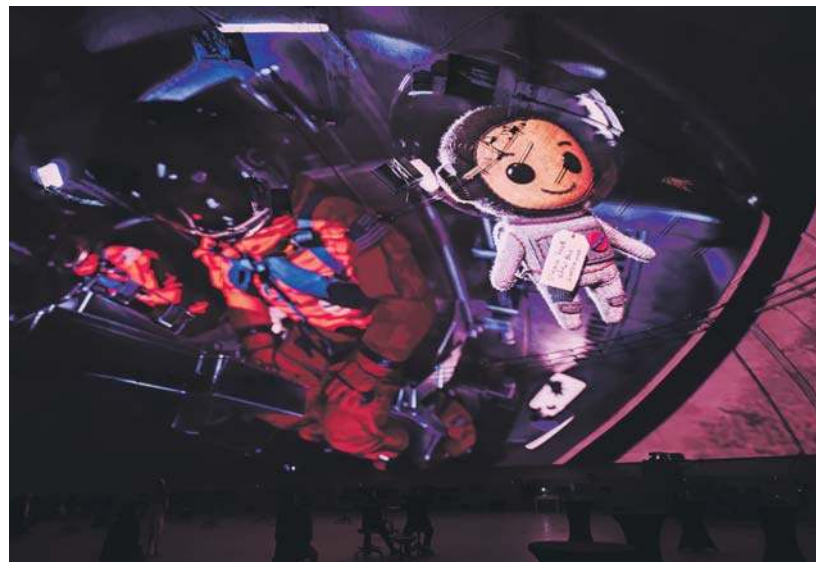
- jak mówi, wystarczająco, by swobodnie funkcjonować. - Nie mówię perfekcyjnie, ale nie zginę - żartuje.

To kolejny krok w stronę integracji z miejscem, które z czasem przestało być „zagranicą”, a zaczęło przypominać drugi dom. I trudno oprzeć się wrażeniu, że to właśnie ta energia - światło, otwartość, skala - przenika później jego projekty w Polsce. W tym także Alvernia Planet, które w pewnym sensie próbuje oddać to samo doświadczenie: zanurzenia się w świecie, który działa na emocje równie intensywnie jak brazylijskie słońce.

Alvernia Planet - projekt, który musiał się zmienić

Najbardziej widowiskowym przedsięwzięciem Hajdarowicza jest obecnie Alvernia Planet - futurystyczny kompleks kopuł w Małopolsce. Milioner nabył kompleks w 2017 roku. Pierwsza koncepcja jego rozwoju była jednak inna niż dziś. Zakładała m.in. wykorzystanie technologii VR - wirtualnej rzeczywistości.

Jak tłumaczył Hajdarowicz, VR to nie tylko rozrywka, ale narzędzie o szerokim zastosowaniu: od biznesu i marketingu po naukę i medycynę.



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

Idea była prosta - stworzyć miejsce, które wciąga widza w cyfrowy świat za pomocą specjalnych okularów.

Ten plan został jednak storpedowany przez pandemię COVID-19. Po pandemii projekt wrócił w zupełnie nowej formie. Zamiast VR - immersja bez pośredników, czyli największe w Europie kino 360 stopni. Zamiast okularów -

przestrzeń, która sama staje się ekranem. Kluczowym elementem jest projekcja, w której widz znajduje się w centrum wydarzeń. Pierwszy projekt to podróż na Marsa, połączona z fizyczną scenografią i możliwością tworzenia własnych filmów z wykorzystaniem AI. Pomysł wynika z obserwacji współczesnych odbiorców.

Dzisiaj ludzie nie chcą tylko oglądać - chcą być w środku, uczestniczyć.

Od Marsa do Amazonii

Plany na przyszłość są równie ambitne. Kolejne projekty mają przenosić widzów w inne światy - w tym do Amazonii. To bezpośrednie nawiązanie do jego brazylijskich inspiracji. Hajdarowicz chce, by odwiedzający mogli „wylądować” nie tylko na Marsie, ale też w dżungli, wśród rytuałów i natury Ameryki Południowej.

Nakręcenie filmu w technologii, by mógł być on wyświet-

lany w kinie sferycznym, nie jest proste. Dlatego repertuar tam będzie zmieniał się raz w roku.

Jak zapowiada Grzegorz Hajdarowicz, otwarcie kina 360° to dopiero początek większej wizji. - Chcemy stworzyć tu przestrzeń, która będzie żyła różnymi formami sztuki i rozrywki. Planujemy galerię artystyczną, strefę gastronomiczną, kino letnie, kino samochodowe, wystawy i performanse. Te kopuły dają

ogromne możliwości - w jednej z nich można zrobić koncert, konferencję czy premierę produktu. To przestrzeń, którą można wypełnić niemal dowolną treścią - podkreśla Grzegorz Hajdarowicz.

W planach jest także dalsze wykorzystanie istniejącej infrastruktury i scenografii m.in. wioski z planu serialu „Barbarzyńcy”, dostępnej dla odwiedzających w formie krótkiego spaceru.



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

OD ZAŁAMANIA DEMOKRACJI DO DYKTATURY. 100. ROCZNICA PRZEWROTU MAJOWEGO 1926 ROKU

Marszałek Józef Piłsudski, drugi obok Jana Pawła II, najwybitniejszy Polak XX stulecia, przeszedł do historii jako główny wskrzesiciel odrodzonej w 1918 roku po latach zaborów Polski, w pełni więc zasłużył na miano „ojca niepodległości”. Jednakowoż zasłynął też negatywnie jako zbrojny likwidator polskiej demokracji w 1926 r. A jak dowodzi historia, nawet najgorsza demokracja stoi w hierarchii wartości wyżej niż najlepsza dyktatura – pisze prof. Marek Bankowicz, politolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Autor książki „Zamach stanu. Studium teoretyczne”

Zamach stanu, inaczej przewrót lub pucz, to jedna z trzech, obok wyborów i dziedziczenia, metod osiągania władzy w państwie. Metoda ta jest kwintesencją uzurpatorstwa politycznego, władzę zdobywa się tu bowiem na drodze poprzedzonego konspiracją szybkiego i pozaprawnego działania, z zastosowaniem siły, a potem po osiągnięciu celu również siłą wymusza się posłuch.

W Polsce mamy pewną tradycję zamachu stanu. Podjęta u schyłku I Rzeczypospolitej dramatyczna próba ratowania niepodległego państwa, której kulminacją było uchwalenie konstytucji 3 maja 1791 roku, dokonała się w atmosferze i warunkach zamachu stanu, ponieważ reformy ustrojowe przeprowadzono w sposób stanowiący ostre pogwałcenie istniejącego porządku prawnego i instytucjonalnego.

W dwa miesiące po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku grupa prawniczych działaczy politycznych, jej liderami byli pułkownik Marian Januszajtis i książę Eustachy Sapieha, podjęła nieudaną próbę dokonania przewrotu i przejęcia władzy. Tak naprawdę był to jednak operetkowy zamach stanu, zupełnie niepoważny. Znamiona zamachu stanu połączonego z rebelią miały wydarzenia z grudnia 1922 roku, których finałem było zamordowanie Gabriela Narutowicza, pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej. Marszałek Józef Piłsudski, główny twórca niepodległości Polski, rozczarowawszy się do słabej i niewydolnej demokracji, w maju 1926 roku sięgnął po władzę w drodze gwałtownego i zarazem bardzo drastycznego w formie wojskowego przewrotu, który nawet przy-

brał postać krótkotrwałej, lecz gwałtownej wojny domowej.

Generał Wojciech Jaruzelski w obronie słabnącego systemu komunistycznego 13 grudnia 1981 roku ogłosił stan wojenny z wyraźnym i poważnym naruszeniem obowiązujących wówczas przepisów prawa, na czele z konstytucją PRL. Akcja gen. Wojciecha Jaruzelskiego często w świecie, ale także i w Polsce, jest prezentowana jako zamach stanu, ale nim nie jest, ponieważ przewrót dąży do obalenia istniejącej władzy, a w tym przypadku mieliśmy do czynienia z jej obroną.

Po przełomie ustrojowym 1989 roku w polskim życiu politycznym temat zamachu stanu jest stale obecny. Daje się zaobserwować jakaś zadziwiająca fascynacja tym zjawiskiem. Prowadzące z sobą bezwzględna walkę – dodajmy: niemającą nic wspólnego z demokratyczną rywalizacją – główne formacje polityczne przy różnych okazjach na przemian zarzucają sobie próby dokonywania zamachu stanu. Ostatnio mówi się nawet o permanentnym zamachu stanu, co oczywiście jest logicznym i definicyjnym nonsensem. W tej groteskowej narracji Polska jawi się jako kraj, gdzie zamachy stanu następują jeden po drugim i co za tym idzie – w ich liczbie przodujemy na świecie, wyprzedzając dotychczasowego lidera – Boliwii.

W setną rocznicę przewrotu majowego 1926 roku przypomnijmy okoliczności i przebieg tego zdarzenia, które zmieniło polityczne oblicze międzywojennej Polski, a bez wątpienia może być zaliczone do czarnych kart w najnowszej historii politycznej naszego kraju.

Po dymisji 13 listopada 1925 roku premiera Władysława Grabskiego, prezydent Stanisław

Wojciechowski desygnował na nowego prezesa Rady Ministrów marszałka Sejmu Macieja Rataja, wychodząc z przekonania, iż państwo jest w głębokim kryzysie. Rataj nie podjął się jednak misji stworzenia rządu. Zadanie to przypadło następnie konserwatyście Aleksandrowi Skrzyńskiemu, dotychczasowemu ministrowi spraw zagranicznych. 14 listopada do Warszawy przybył marszałek Józef Piłsudski, który po wycofaniu się w 1923 roku z czynnego życia politycznego pozostawał na swojej emigracji wewnętrznej w Sulejówku pod Warszawą, skąd obserwował przebieg zdarzeń. W ultimatywnej formie zażądał od prezydenta Wojciechowskiego niepowoływania gen. Władysława Sikorskiego na ministra spraw wojskowych w następnym gabinecie. Protestował też przeciwko – jak to ujął – „pomijaniu interesów moralnych armii polskiej” przez kolejne rządy. W odpowiedzi na to Sikorski, jako urzędujący minister, wprowadził stan gotowości w siłach zbrojnych. 15 listopada do Sulejówka przybyła grupa oficerów z gen. Gustawem Orlicz-Dreszerem na czele. W sposób manifestacyjny zadeklarowali oni lojalność wobec marszałka, dystansując się od legalnych władz. Tym samym rozpoczęto proces, którego kulminacją okazał się przewrót majowy.

Nie mając wpływu na bieg spraw państwowych, marszałek Piłsudski odczuwał pogłębiającą się frustrację i coraz wyraźniej dawał do zrozumienia, że nie wyklucza zbrojnego przejęcia władzy. Rzeczywistość dała sposobność do realizacji tego zamierzenia. Polska demokracja funkcjonowała źle, rozpanoszyły się partie polityczne, dbające tylko o własne partykularne interesy, Sejm był zdominowany przez niekończące się spory i waśnie,

a władza wykonawcza pozostawała w strukturalnej zapaści. W okresie 1918-1926 funkcjonowało 14 rządów, przeciętnie jeden gabinet urzędował tylko 7 miesięcy, co uniemożliwiało wdrożenie i przeprowadzenie jakiegokolwiek długofalowej strategii politycznej czy gospodarczej. Pierwszy prezydent RP Gabriel Narutowicz urzędował kilka dni, a jego następcą Stanisław Wojciechowski – jak pisali autorzy znakomitej międzywojennej „Historii XX wieku” (Warszawa 1936) – „nie miał ani możliwości, ani dość energii, aby zapanować nad sytuacją”.

20 listopada 1925 roku powstał – przypomnijmy – rząd Skrzyńskiego. Opierał się on na solidnej bazie parlamentarnej, bowiem wspierały go różne formacje polityczne od endecji po socjalistów. Nowy rząd dużą wagę przywiązywał do spraw zagranicznych, słusznie uważając, że należy przeciwdziałać dalszemu pogarszaniu się sytuacji Polski na arenie międzynarodowej. Polska przejawiała dużą aktywność na forum Ligi Narodów. Zabiegała też o zdynamizowanie stosunków z Anglią, chcąc w ten sposób przeciwdziałać ewentualnemu zagrożeniu ze strony Niemiec. Podjęto – nieudaną jednak – próbę zawarcia z ZSRR paktu o nieagresji. Doszło wreszcie do odnowienia sojuszu polsko-rumuńskiego. W trakcie funkcjonowania rządu Skrzyńskiego, 28 grudnia 1925 roku Sejm uchwalił ustawę o wykonaniu reformy rolnej. Pomimo niewątpliwych sukcesów, rządem wstrząsały konflikty wewnętrzne, co doprowadziło w kwietniu 1926 roku do wyjścia z niego dwóch ministrów socjalistycznych. Powstałych wakatów nie udało się zapłacić, rząd określano w prasie jako „kadłubowy”. Gabinet Skrzyńskiego ostatecznie podał się do dymisji 5 maja 1926 roku.

10 maja 1926 roku powołany został trzeci gabinet Wincentego Witosa. Prezydent Wojciechowski miał wątpliwości, czy jest to rozwiązanie słuszne, bo osoba nowego szefa rządu wzbudzała wielką niechęć marszałka Piłsudskiego, uważającego przywódcę PSL-Piast za symbol rujnującego kraj partyjniactwa. Ale koniec końców prezydent ugiął się pod naporem większości sejmowej, którą tworzyły: Związek Ludowo-Narodowy (endecja), PSL-Piast, chadecja oraz Narodowa Partia Robotnicza (lewica chrześcijańska). Dzień później w „Kurierze Porannym” ukazał się wywiad marszałka Piłsudskiego, w którym w niezwykle ostrych słowach skrytykował on nowy rząd i osobę premiera Witosa. Wywiad kończył się stwierdzeniem Piłsudskiego, że staje „do walki, tak jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapomnieniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści”. Wywiad został skonfiskowany przez władze administracyjne, co dodatkowo podgrzało i tak już napiętą atmosferę. Pojawiły się też pogłoski o możliwym aresztowaniu marszałka. Niektóre wypowiedzi premiera Witosa nie wykluczały, iż w rozgrywce o władzę również on myśli o wejściu na drogę niekonstytucyjną. Po pogłoskach, nieprawdziwych, że ostrzelano dom Piłsudskiego w Sulejówku, w Rembertowie zaczęły gromadzić się oddziały wiernie marszałkowi.

W godzinach przedpołudniowych 12 maja do Rembertowa przybył marszałek Piłsudski i zgromadzonym tam wojskom wydał rozkaz ruszenia na Warszawę. Tym samym rozpoczęły się wydarzenia, które na kartach historii Polski zapisały się jako przewrót majowy. We wczesnych godzinach popołudnio-

wych siły Piłsudskiego bez oporu opanowały Pragę. Marszałek liczył, że ten pokaz siły wystarczy i zmusi rząd do kapitulacji. Tymczasem gabinet Witosa zdecydował się na przyjęcie walki. Wprowadzono stan wyjątkowy w Warszawie, województwie warszawskim oraz dwóch powiatach województwa lubelskiego. Prezydent Wojciechowski skierował odezwę do wojska, wzywając zbuntowanych żołnierzy do powrotu „na drogę prawa i posłuszeństwa”. Około godziny 17-tej doszło do spotkania ostatniej szansy prezydenta Wojciechowskiego i marszałka Piłsudskiego na Moście Poniatowskiego. Nawiasem mówiąc, było to spotkanie dwóch byłych liderów PPS, dawnych bliskich znajomych, a nawet przyjaciół. Wojciechowski usiłował odwieść Piłsudskiego od planu przejęcia władzy siłą, mówiąc: „Ja tutaj reprezentuję Polskę. Żądam skierowania swych pretensji na drogę legalną”. Na to z ust marszałka usłyszał: „Dla mnie droga legalna zamknięta”. Jednocześnie Piłsudski domagał się od prezydenta natychmiastowego zdymisjonowania rządu Witosa i ukształtowania nowych władz państwa zgodnie z jego oczekiwaniami. W chwilę potem obaj rozmówcy podeszli do szeregu żołnierzy wiernych rządowi. Marszałek skierował do nich słowa: „No, chłopcy, chyba mnie przepuście”. Natomiast prezydent Wojciechowski, kończąc rozmowę, zawałał: „Żołnierze, spełniajcie swój obowiązek”, wzywając ich tym samym do walki z buntownikami.

Około godz. 19-tej oddziały Piłsudskiego ruszyły do ataku od strony Mostu Kierbedzia. Rozgorzały pierwsze walki. Siły rządowe cofnęły się. Zbuntowane wojska zajęły prawobrzeżne dzielnice Warszawy, centrum miasta między Mo-



WALDEMAR WYŁĘGAŁSKI

stami Kierbedzia i Poniatowski, a także ważne punkty w południowej części Warszawy, gdzie znajdowały się m.in. Sztab Generalny, Komenda Miasta, dworce, centrala telefoniczna, Ministerstwo Komunikacji i Dyrekcja Okręgowa Kolei. Prezydent Wojciechowski 13 maja w wydanym wojsku rozkazie napisał m.in.: „Żołnierze Rzeczypospolitej! Stała się rzecz potworna. Znaleźli się szaleńcy, którzy targnęli się na Majestat Ojczyzny, podnosząc jawny bunt” i konkludował: „Buntownicy czynem swoim wykreslili się z szeregów polskich”. Działaniami operacyjnymi wojsk marszałka Piłsudskiego kierował gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, a funkcję szefa sztabu sprawował płk Józef Beck. Dowódcą sił rządowych był gen. Tadeusz Rozwadowski, zaś jego szefem sztabu – płk Władysław Anders.

Sytuacja wojsk rządowych poprawiła się nieco 13 maja, kiedy do stolicy przybyły z prowincji pierwsze posiłki. Na prowincji jedne garnizony woj-

skowe stanęły po stronie rządu, inne poparły Piłsudskiego, jeszcze inne zachowywały się biernie, czekając na rozwój wydarzeń w Warszawie. Dowódca okręgu wojskowego Poznań gen. Kazimierz Sosnkowski, przyjaciel Piłsudskiego, nie sprzeciwił się wysłaniu oddziałów na pomoc rządowi, po czym podjął próbę samobójczą i w jej wyniku ciężko się zranił. Po południu oddziały rządowe odniosły w walkach pewne sukcesy, ale nie potrafiły ich wykorzystać. 14 maja w godzinach rannych wojska Piłsudskiego ruszyły do ataku. Obawiały się bowiem napływu wiernych rządowi wojsk z Poznania. Mająca duże wpływy w środowiskach pracowniczych Polska Partia Socjalistyczna (PPS) ogłosiła w całym kraju strajk powszechny, a uczestniczący w nim kolejarze paraliżowali transporty wojsk rządowych. Co ciekawe, poparcia Piłsudskiemu udzielili komuniści, uznając, że jego działania mają charakter „postępowy”, bowiem wystąpił „przeciwko faszystowski”,

a za faszystów uznawano endecję i jej sojuszników. Około godziny 15-tej linia obrony wojsk rządowych została w zasadzie przełamana. W tej sytuacji prezydent Wojciechowski wydał rozkaz wycofania się rządu z Belwederu do Wilanowa. Niebawem praktycznie cała Warszawa znalazła się w rękach zamachowców.

W Wilanowie prezydent i rząd dysponowali około 2 tys. żołnierzy. Niektórzy generałowie proponowali dalsze kontynuowanie walki oraz ewakuację prezydenta i premiera do Poznania. Prezydent Wojciechowski, poparty przez premiera Witosę, nie zgodził się jednak na to, obawiając się wybuchu wojny domowej na pełną skalę, co mogłoby zachwiać samymi podstawami młodego państwa. Na jego wniosek Rada Ministrów jednomyślnie postanowiła zaniechać walk. Zaraz po tym rząd podał się do dymisji, zaś prezydent Stanisław Wojciechowski złożył swój urząd na ręce marszałka Sejmu Macieja Rataja. Rataj niezwłocz-

nie porozumiał się z Piłsudskim – uznającym marszałka Sejmu za tymczasową głowę państwa – co do przerwania walk. W wyniku walk zginęło 379 osób – 215 żołnierzy i 164 cywilów – natomiast rany odniosło 920 osób.

Marszałek Piłsudski – co było zaskoczeniem dla wielu – nie rozpuścił Sejmu. Uznał najwidoczniej, iż jakościowo nowy porządek polityczny wyrośnie ze starych instytucji. 15 maja pełniący obowiązki prezydenta marszałek Rataj powołał rząd pod wodzą premiera Kazimierza Bartla, którego wskazał przywódcą przewrotu. W rządzie tym Piłsudski objął tekę ministra spraw wojskowych. Rozumiał, że zbrojny przewrót to tragiczne wydarzenie dla młodego państwa. Starł się zasypywać podziały w wojsku. Po objęciu ministerstwa w rozkazie do wojska napisał: „Niechaj krew ta gorąca najcenniejsza w Polsce, krew żołnierza, pod stopami naszymi, będzie nowym posiewem braterstwa”. Nakazał pochowanie we wspólnej mogile poległych w walkach żołnierzy obu stron konfliktu. Żołnierze i oficerowie biorący udział w walkach po stronie rządu mogli dalej służyć w wojsku. Nie dotyczyło to prorządowych generałów – zostali oni internowani, co prawda po tygodniu większość z nich zwolniono, ale jednak kilku osadzono w więzieniu w Wilnie.

Na 31 maja zwołane zostało Zgromadzenie Narodowe, by dokonać wyboru nowego prezydenta. Stronnictwa lewicy wysunęły kandydaturę Piłsudskiego, a prawica zgłosiła wojewodę poznańskiego Adolfa Bnińskiego. Prezydentem wybrany został Piłsudski, na którego oddano 292 głosy przeciwko 193, jakie padły na Bnińskiego. Marszałek Piłsudski jednak wyboru na prezydenta nie przyjął, uzasadniając odmowę tym, że istniejąca konstytucja nie daje prezydentowi możliwości bezpośredniego działania politycznego. Swoją wybiórczo potraktował skądinąd jako zalegalizowanie dokonanego przez niego przewrotu.

1 czerwca odbyło się drugie posiedzenie Zgromadzenia Narodowego. Wysłunięty przez Piłsudskiego Ignacy Mościcki otrzymał 215 głosów, Bniński – 211, a zgłoszony przez PPS Zygmunt Marek – 56. Wobec nieuzyskania przez żadnego z kandydatów wymaganej większości, zarządzono drugie głosowanie, w którym prezydentem obrano Mościckiego. Głosowało na niego 281 członków Zgromadzenia Narodowego, zaś Bnińskiego poparło 200 głosujących.

Po przewrocie majowym nowe władze za najistotniejsze zadanie uznały zmianę konstytucji oraz przebudowę ustroju państwa. 2 sierpnia 1926 roku na wniosek rządu Sejm przyjął ustawę o zmianie konstytucji. Nowela sierpniowa w poważnym stopniu zwiększała uprawnienia prezydenta. Otrzymał on prawo rozwiązywania na wniosek

rządu Sejmu i Senatu przed upływem kadencji. Prezydent uzyskał ponadto prawo wydawania w razie konieczności państwowej, gdy izby nie działają, rozporządzeń z mocą ustawy. Rozporządzenia takie traciły moc obowiązującą, gdy nie zostały przedłożone Sejmowi w ciągu 14 dni po jego zwołaniu lub też zostały przez Sejm uchylone. Ograniczone zostały uprawnienia budżetowe parlamentu. Jeśli Sejm i Senat w ściśle określonych terminach nie uchwałyły ustawy budżetowej ani jej nie odrzuciły, prezydent ogłaszał rządowy projekt budżetu jako ustawę. Wreszcie zredukowano uprawnienia Sejmu w zakresie uchwalania rządowi wotum nieufności. Wniosek w tej sprawie nie mógł być poddany głosowaniu na tym posiedzeniu, na którym został postawiony. Wszystko to sprawiało, że w Polsce kończyła się era parlamentaryzmu. Ustępował on miejsca systemowi autorytarnemu, w którym kluczową rolę odgrywała realizująca dyrektywy marszałka Piłsudskiego władza wykonawcza, zaś organy przedstawicielskie zostały zredukowane do roli fasadowej. Ustrojowym domknięciem dyktatury, która wyłoniła się w wyniku przewrotu majowego, było przyjęcie 23 kwietnia 1935 roku nowej konstytucji RP (tzw. konstytucja kwietniowa). Zrywała ona z kardynalnymi zasadami demokracji, a mianowicie zasadą suwerenności narodu i podziału władzy. Suwerenem w państwie zostało samo państwo, a uosobieniem państwa stał się jedynowładczy prezydent, w którego osobie – jak stwierdzała konstytucja – „skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa”, a który za losy państwa ponosi odpowiedzialność jedynie „wobec Boga i historii”.

Dyktaturę sanacji politologzy zaliczają do grona autorytaryzmów mobilizacji postdemokratycznej. System taki powstaje po załamaniu się ustroju demokratycznego, który w ocenie znacznej części społeczeństwa zawodził, ponieważ okazał się niewydolny i zasadniczo niezdolny do sprostanienia rozlicznym wyzwaniom politycznym i społecznym. Nowa władza wprowadziła odrzuca demokrację, ale niejako w zamian – przynajmniej w deklaracjach – gwarantując ład i porządek, zapowiadało umocowanie i uzdrowienie państwa. Nie inaczej rzecz się miała z polską dyktaturą międzywojenną, która obiecała kraj wyczerpany słabą i obarczoną licznymi wadami demokracją uzdrowić. Stąd nieprzypadkowo hasło sanacji w piłsudczykowski wokabularz politycznym. Sam marszałek Piłsudski jest przykładem dyktatora cezaryjskiego, który wywodzi się z wojska i dochodzi do władzy na drodze zbrojnego przewrotu. Gdy sięga po władzę, cieszy się opinią wybitnej postaci o wielkim autorytecie wśród ludzi, jest charyzmatycznym przy-

wódcą, co jest konsekwencją jego minionych ogromnych zasług na polu bitewnym, w walce o niepodległość etc. Pierwowzorem takiego dyktatora jest Gajusz Juliusz Cezar w starożytnym Rzymie.

Marszałek Józef Piłsudski, drugi obok Jana Pawła II, najwybitniejszy Polak XX stulecia, przeszedł do historii jako główny wskrzesiciel odrodzonej w 1918 roku po latach zaborów Polski, w pełni więc zasłużył na miano „ojca niepodległości”. Jednakowoż zasłynął też negatywnie jako zbrojny likwidator polskiej demokracji w 1926 roku, wprowadzając dalekiej od ideału, ale jednak demokracji. A jak dowodzi historia, nawet najgorsza demokracja stoi w hierarchii wartości wyżej niż w hierarchii dyktatury. Dyktatura sanacyjna z pewnością nie była – by posłużyć się takim poniekąd paradoksalnym określeniem – dobrą, czyli funkcjonalną i sprawną, dyktaturą. Nie rozwiązała żadnych problemów społecznych, które odziedziczyła po poprzednim systemie, była anachroniczna, jeśli idzie o realizowany model władzy politycznej oraz generalnie niewydolna w zarządzaniu gospodarką i finansami państwa, pomimo kilku niewątpliwych punktowych sukcesów inwestycyjnych, a także nie potrafiła w jakimś znaczącym stopniu podnieść poziomu życia ludności. A co najważniejsze – okazała się niezdolna do sprostanienia wyzwaniom, jakie niósł z sobą świat lat 20. i 30. XX wieku, a kumulacja tych wyzwań zakończyła się katastrofą wrześniową 1939 roku. Marszałek Józef Piłsudski, dyktator cezaryjski, był jednak dyktatorem niejednoznacznym, o janusowym obliczu – z jednej strony nie wahał się prześladować i zamykać w więzieniach przeciwników politycznych, a z drugiej – tolerował wielopartyjność oraz nie usunął z Sejmu opozycji politycznej, która miała możliwość uczestniczenia w wyborach parlamentarnych, chociaż bez jakiegokolwiek możliwości ich wygrania. Mawiał: „Wybory? Proszę bardzo, ale nie przewiduję przegranej”. Bo dyktator nie da się obalić mocą karty wyborczej.

AUTOR



FOT. ANDRZEJ BANAS

Prof. dr hab. Marek Ban- kowicz – politolog, kierownik Katedry Współczesnych Systemów Politycznych i Partyjnych w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ.

Znamy go przede wszystkim jako ojca chrzestnego polskiego bluesa. Popularność zdobył, wykonując dziarskiego rock and rolla jako Shakin' Dudi. Teraz do księgarń trafia wywiad rzeka o jego twórczości – „No. 1”. Nam Irek Dudek opowiada, jak zakochał się od pierwszego wejrzenia w swej obecnej żonie

Patryk Gzyl

IREK DUDEK: RADZĘ NIE SIĘ ZAŁAMYWAĆ, TYLKO POKONYWAĆ TRUDNOŚCI



FOT. LUKASZ RAK

Irek Dudek: nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię

Wczoraj były pana 75. urodziny. Wszystkiego najlepszego!
Bardzo dziękuję za życzenia.

Trudno uwierzyć w to, że ma pan 75 lat. Energii, optymizmu i kondycji mógłby panu pozazdrościć nie jeden młodzieniaszek.
To miłe, iż pan uważa, że nie wyglądam na swoje lata. To prawda: mam jeszcze dużo siły do grania i organizowania festiwalu Rawa Blues. Może to zasługa tego, że mieszkam w górach i oddycham świeżym powietrzem.

Ma pan za sobą kilka trudnych przeżyć: poważne operacje i wypadek samochodowy. Te doświadczenia nie odebrały panu energii?
Zawsze miałem w życiu pod górkę, musiałem więc ciągle się mobilizować. Kiedy miałem ten wspomniany wypadek, w którym pogruchotało mi obie nogi, leżałem na wyciągu w szpitalu, poprosiłem więc żonę, by przyniosła gitarę i wykorzystałem ten czas, by lepiej nauczyć się grać na tym instrumencie. Teraz mam problemy z sercem, wszczepiono mi trzy bypasy,

gorzej mi się więc oddycha. Na przekór temu wziąłem harmonijkę ustną i ćwiczę na niej codziennie. Tego rodzaju wyzwania i noszenie swego krzyża z pogodą ducha, jest najlepszym panaceum na te ciężkie doświadczenia. Dlatego wszystkim radzę nie załamywać się, tylko pokonywać trudności.

Takie okragłe urodziny to okazja do podsumowań. To stąd pomyśl na wywiad rzekę „No. 1”?
Tak. Tytuł książki to nawiązanie do płyty, którą nagrałem

jeszcze za czasów komuny z własnym big-bandem. Jeśli ktoś przeczyta tę książkę, to zrozumie dlaczego „No. 1”.

Zadowolony jest pan z tej książki?
Tak. Miałem tylko kilka uwag. Generalnie nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię. Każdy ma inną wrażliwość i inaczej postrzega różne wydarzenia. Czasami jest to dyskusyjne, ale poddaję się temu. Jacek Kurek jest rzetelnym dziennikarzem i widziałem, że mu za-

leżało. Przyjeżdżał do mnie i wszystko nagrywał. Myślę więc, że dobrze wyszło. To fajny prezent na urodziny.

Dużo miejsca poświęca pan w tej rozmowie pana korzeniom. Na ile Śląsk ukształtował pana osobowość?

To właśnie na Śląsku zakochałem się w bluesie. W połowie lat 60. w Katowicach był klub Ciapek, gdzie moi starsi koledzy grali do tańca utwory The Animals, The Pretty Things czy The Rolling Stones. Ponieważ byłem za młody na wejście, stałem tam pod oknem z kumpłem i słuchałem przez kilka godzin. Pewnego razu wyszedł do nas basista Wojtek Toboń i pyta: „Co wy tu robicie?”. „Chcielibyśmy grać tak jak wy” – odparłem. „To masz harmonijkę, naucz się, to może zagrasz z nami” – powiedział. I faktycznie: pół roku później już z nimi występowałem.

Co pana zafascynowało w bluesie, że jest pan mu wierny do dzisiaj?

Wychowałem się na rock and rollu. A on przecież wziął się z bluesa. Znalazłem więc najpierw Johna Mayalla. Nauczyłem się nawet grać jego utwory jeden do jednego. To był biały blues. Potem wiedziony ciekawością, dotarłem do nagrań tych, którzy go inspirowali. To byli już czarni bluesmani z Ameryki – Muddy Waters czy Johnny Lee Hooker. W ich muzyce była prawda i szczerość – i to mnie przede wszystkim ujęło.

W latach 60. władza lansowała hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. A pan wykonywał bluesa po angielsku. Miał pan przez to pod górkę?

Tak. Na siłę lansowano wtedy big-bitowe zespoły, które śpiewały tylko po polsku. Dlatego trafiłem na ścianę – nie mogłem nic nagrać ani dla radia, ani na płytę. Raz tylko udało mi się w Poznaniu zarejestrować cztery utwory, ale gdzieś przepadły i nie było szans, żeby je wylansować.

Duża część pana kariery to czas komuny. Jakie sobie pan radził z ówczesnymi władzami?

Występowałem przede wszystkim w klubach studenckich, a one były otwarte na taką muzykę. Nie było wtedy jeszcze dyskotek, więc po prostu graliśmy do tańca. Nie miałem żadnych oficjalnych przeszkód. Brakowało mi tylko nagrań, przez co długi czas byłem mało znany.

Co sprawiło, że się pan nie poddał?

Z perspektywy czasu te dziesięć lat tułania się po studenckich klubach wyszło mi na dobre. Wykonując standardy

rhythm and bluesowe i bluesowe nauczyłem się dobrze grać na harmonijce ustnej, poznałem arkana improwizacji, dowiedziałem się, jak aranżuje się piosenki i jak się prowadzi zespół. To wszystko zaowocowało, kiedy objawiłem się jako Shakin' Dudi. Ten czas grania i śpiewania w klubach sprawiły, że wokół do pierwszego utworu tej grupy nagrałem w cztery i pół godziny. Byłem bowiem przygotowany do wejścia do studia. A wtedy nie było żadnych komputerów, które czyściły fałszy. Dlatego uważam, że czasami dobrze jest długo ćwiczyć, zanim dokona się pierwszych nagrań.

Pod koniec lat 70. wyjechał pan do Ameryki, a dekadę później do Holandii. Nie chciał pan nigdy zostać na Zachodzie i tam próbować zaistnieć?

Kiedy byłem w Amsterdamie, poszedłem z moją płytą „No. 1” do jednego z klubów. Kiedy puściłem im, jak śpiewam bluesa po angielsku, powiedzieli mi: „Wszystko dobrze, ale my możemy mieć prawdziwych bluesmanów z Ameryki. Po co więc mamy ciebie angażować? Śpiewaj po polsku, to zobaczymy”. Uznałem więc, że mają rację. Ponieważ miałem już za sobą nagrania Shakin' Dudi, opanowałem technikę śpiewania po polsku, musiałem ją tylko przenieść na bluesa. To było trudne – ale uznałem, że skoro jestem Polakiem, to powinienem śpiewać po polsku. Tak narodził się pomysł na projekt Symphonic Blues, z którym udało mi się pogrążyć na Zachodzie. Mój menedżer Thomas Ruf wydał płytę z naszym koncertem w słynnym klubie jazzowym Subway w Kolonii. Była więc szansa na dużą karierę. Mnie się marzyło jednak nagranie albumu w Polsce z NOSPR-em. Wróciłem więc do ojczyzny, ale wycofał się sponsor i pomysł spalił na panewce. Ruf się na mnie obraził i zostałem z niczym.

W czasie PRL-u polski showbiznes był przesiąknięty alkoholem. Pan też nie wylewał za kołnierz. Nie dało się wtedy być muzykiem i nie pić wódki?

Z moich obserwacji raczej nie. Była to trochę rozpusta: alkohol, dziewczyny. Po latach dopiero udało mi się nad tym zapanować dzięki mojej mamie, która wymodliła, żebym przestał tak żyć i dzięki mojej żonie, która powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli przestanę pić. Najgorzej było w tym pierwszym okresie mojej działalności, kiedy występowałem w klubach. Gdzie się bowiem nie wjeżdżało, tam od razu wyciągano alkohol. Nie byłem wówczas jakąś gwiazdą, ale dużo koncertowałem, więc znano mnie

w tym środowisku. Dlatego każdy chciał się ze mną napić. A że grałem prawie za darmo, ten alkohol był wtedy prawie jedyną gratyfikacją za występ. Dlatego nie odmawiałem.

Wzorem gwiazd rocka z Zachodu demolowaliście pokoje hotelowe i wyrzucaliście krzesła przez okna. To wódka dawała taką fantazję?

Ja akurat tego nie robiłem, ale moi koledzy z zespołu trochę szaleli. Zabawa była na całego i czasem musiałem na drugi dzień na recepcji płacić za wyrządzone szkody.

Alkohol sprawił, że wysiadła panu trzustka i omal nie zapłacił pan tego życiem. To wtedy przyszło otrzeźwienie? Tak. Zło przyniosło dobro. Kiedy po raz trzeci wylądowałem w szpitalu i lekarze dawali mi nikłe szanse na przeżycie, powiedziałem, że muszę wszystko robić na trzeźwo. Nagrałem potem cztery najważniejsze w moim życiu płyty bez jakichkolwiek wspomagaczy. Sam byłem trzeźwy i tego samego wymagałem od moich kolegów-muzyków. Tak jest zresztą do dzisiaj. Nawet na kacu nikt nie wychodzi ze mną na scenę.

Nigdy nie sięgnął pan po narkotyki?

Nigdy. Coś mnie powstrzymało. Może boża opatrność? A byłem świadkiem, jak dwaj moi koledzy produkowali na własny użytek polską czarną heroinę. Mnie jakoś to nie brało. Wiedziałem, że narkotyki są wielką krzywdą dla organizmu. Koledzy się dziwili, ale tutaj się nie ugiąłem. I całe szczęście.

Wielki sukces osiągnął pan w latach 80. jako Shakin' Dudi. Jak to się stało, że coś, co miało być wygłupem, okazało się strzałem w dziesiątkę?

Byłem wtedy zafascynowany punkiem. Kupiłem sobie nawet płytę Sex Pistols. Miałem już wtedy trzydzieści lat, nie mogłem więc sam być punkowcem. Pomyślałem zatem, że poszukam tych rytmów, które kręciły wtedy młodzież, w przeszłości. I znalazłem je w garażowym rock and rollu z lat 50. W radiu leciał wtedy na okrągło angielski piosenkarz Shakin' Stevens, który wykonywał taką muzykę na dyskotekową modłę. Denerwowało mnie to i pomyślałem: „Ja będę śpiewał prawdziwego rock and rolla”. Namówiłem więc dwóch punkowców, dwóch jazzmanów i jednego bluesmana – i założyliśmy grupę Shakin' Dudi. „Robimy happening muzyczny: rozwalamy, co się da!” – powiedziałem. Poprosiłem Darka Duszę ze Śmierci Klinicznej, żeby napisał proste i dosadne teksty, opisujące

ówczesną rzeczywistość. Barwa mojego głosu i sposób śpiewania były bardzo charakterystyczne. „Gramy źle, tak jakbyśmy nie umieli grać” – zakomenderowałem. Ale jak tu powiedzieć muzykom, którzy grają dobrze, że mają grać źle? Jakoś się jednak udało – i to chwyciło. Ludzie nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam i kiedy pojawiłem się gdzieś publicznie, to wołali za mną: „Hej, Shakin' Dudi!”. (śmiech)

Dawaliście wtedy wręcz szalone koncerty. Naprawdę rozwalali pan fortepiany na scenie?

Tak. Pierwszy raz wydarzyło się to na festiwalu Rock Arena. Ale tylko dlatego, że był to zły instrument. Potem dyrektor się miotał, a ja mu na to: „Mogę odkupić to pianino po cenie detalicznej”. „A to pan sprytny” – nagle zmienił front, bo wtedy nie było instrumentów w sklepach. (śmiech) Z kolei na festiwalu w Jarocinie poprosiłem o wąż strażacki i lałem wodą ludzi pod sceną. Nie bardzo umiałem sobie z nim poradzić i woda tryskała nawet na głośniki i wzmacniacze. Dlatego ich właściciel bardzo się znerwował i wpadł przerażony na scenę. Wtedy całe 25 tysięcy widzów zaczęło wrzeszczeć: „Zabij go!”, żeby nie przeszkadzał mi w tym laniu wodą. (śmiech) Wrzasnąłem więc do Darka „Graj dalej” i polewałem tłum. Na koniec skoczyłem z blisko trzymetrowej sceny w ludzi. Ale stało tam sześciu wcześniej umówionych punkowców i mnie złapali. Czasem był to więc żywioł, a czasem coś było aranżowane.

Złota płyta” Shakin' Dudi pokryła się potrójną platyną, a pan rozwiązał zespół. Dlaczego zdecydował się pan zarząnąć kurę znośząc złote jaja?

Bo to miał być tylko happening. Kiedy „Złota Płyta” odniosła wielki sukces, mogłem pójść dalej tym tropem i kosić niezły szmal. Nie po to jednak wymyśliłem ten zespół. Dlatego, aby być wiernym swoim słowom, musiałem go rozwiązać. Postanowiłem jednak przenieść doświadczenia z Shakin' Dudi na moją własną twórczość. I tak jako Irek Dudek nagrałem autorską płytę „No. 1”. Wtedy okazało się, że mam równie co w rock and rollu dużo do powiedzenia w bluesie. Szef festiwalu w Jarocinie Walter Chelstowski namówił mnie, żebym połączył te dwa projekty w jednym programie „Stereo i w kolorze”. Tak też się stało i graliśmy koncerty w wielkich salach, które ludzie wypełniali do ostatniego miejsca. To były czasy komunii, a my mieliśmy swoją aparaturę

i jeździliśmy kilkoma TIR-ami oraz autobusem, jak jakieś gwiazdy rocka z Zachodu. To było wielkie przedsięwzięcie.

Wykonywał pan potem bluesa na różne sposoby: z big-bandem, symfonicznie, jazzowo, swingowo. Który z tych projektów jest panu najbliższy?

Symphonic Blues. Zjechałem z nim nie tylko bluesowe, ale i rockowe festiwale na Zachodzie. Chyba ten pomysł był najbardziej mój i inny od wszystkich pozostałych. Dużo walorów muzycznych ma jednak też płyta „No. 1”, nagrana z moim własnym big-bandem – choćby klasyczny już dziś utwór „Something Must Have Change”. W tym roku zagram go w katowickim NOSPR-ze podczas Rawy Blues. Ważna jest dla mnie też płyta „Dudek Bluesy”, ponieważ dostałem za nią Fryderyka. To miało początkowo być demo, ale realizator powiedział, że nagra to w pełni profesjonalnie. Posłuchałem potem tego materiału i pomyślałem, że dołożę sekcję rytmiczną. Zaangażowałem uznanych jazzmanów i dałem im wolną rękę. Tak fajnie to wyszło, że zadzwoniłem jeszcze po pianistę. I wtedy stwierdziłem: „To jest bardzo dobre!”. Fryderyk to potwierdził, ale koncertów zagraliśmy bardzo mało. Sam nie wiem dlaczego.

Kiedyś pan powiedział: „Koncertuję rzadko, żeby być świeżym”. To dobra zasada?

Bardzo dobra. Nie lubię chałtur. Do każdego koncertu przygotowuję się bardzo długo. Jesienią zagram na Rawie Blues – i będę się do niego przygotowywał pięć miesięcy. Ktoś by powiedział: „Czyś ty zwariował?”. Ale ja chcę wyjść na scenę i być zauważonym znowu w inny sposób.

Mówi się, że bluesman jest jak wino: im starszy, tym lepszy. To prawda?

Tak mi się wydaje. Trzeba się jednak dobrze starzeć. Bo jeśli wino się rozpuści, to zwierzeje i zepsuje się. Dlatego bluesman musi opierać swą działalność nie tylko na wieku, ale przede wszystkim na ciężkiej pracy.

Pana dzieckiem jest też festiwal Rawa Blues, który odbywa się w Katowicach

od 1981 roku i ciągle gromadzi kilka tysięcy widzów. Na czym polega jego sukces?

Przygotowując jego program, patrzę na bluesa szeroko. To nie tylko czarni muzycy z Chicago, ale też biali wykonawcy z pogranicza jazzu i rocka. To daje dużą świeżość. Dlatego te zespoły, które grają podczas finału Rawy, brzmią zupełnie inaczej. To przyciąga ludzi, którzy nie są koneserami bluesa, ale po prostu lubią posłuchać granej na żywo dobrej muzyki. I kiedy raz przyjdą na Rawę, to potem chodzą już co roku. A nawet z czasem zabierają swoje dzieci i wnuki. W tym roku festiwal odbędzie się w dwóch salach NOSPR-u, bo uznaliśmy, że czas pokazać wirtuozów bluesa w sali, mającej najlepszą akustykę w Polsce. Wszystko będzie więc na najwyższym poziomie.

Kiedyś muzyk amerykańskiego zespołu Canned Heat powiedział: „Na Rawie rządzi muzyka, nie biznesman”. Może i w tym tkwi sukces tego festiwalu?

To powiedział perkusista, jedyny członek oryginalnego składu tej grupy z lat 60., który zjeździł cały świat. Jego zdaniem biznes tak przewala niektóre festiwale, że po prostu je topi. Ja staram się tego uniknąć. Dla mnie liczy się przede wszystkim muzyka.

Kiedyś wyznał pan: „Nie przywiązywałem wielkiej wagi do pieniędzy, ale jakoś się mnie trzymają”. Jak to możliwe?

Kiedy nie gonisz za pieniędzem, to on sam do ciebie przyjdzie. Jeśli robisz coś, co jest twoją pasją, to będzie to coś dobrego i ludzie się tym zainteresują. Wtedy ten pieniądz się znajdzie. Gdyby zależało mi na pieniądzach, to za czasów PRL-u nie tułałbym się po klubach, tylko pojechałbym do Zielonej Góry czy Kołobrzegu. (śmiech) Tymczasem ja grałem za pół darmo, wystarczało mi na wino i kolację. Trzeba więc umieć zaryzykować w życiu i postawić na swoją pasję. Wtedy gdzieś się te pieniądze znajdują. U mnie znalazły się dopiero przy Shakin' Dudi. Dziś też nie narzekam. Wybudowałem dom, posadziłem drzewa, mieszkam praktycznie w lesie. Czasem wychodzę sobie na przyzbę i gram na harmonijce. Bardzo dużo

ćwiczę, bo chcę pokazać na Rawie, że właśnie zacząłem od tego instrumentu.

W 1986 roku na festiwalu w Opolu poznał pan przyszłą żonę Iwonę. To była miłość od pierwszego wejrzenia?

Tak. Podeszła do mnie z prośbą o autograf dla swego brata. Siedziałem wtedy z muzykami z Shakin' Dudi przy jednym ze stolików na uboczu. Pogadaliśmy chwilę i zaproponowałem, żebyśmy się gdzieś przeszli. Spacerowaliśmy w sumie cztery godziny i w końcu mówię: „Ty będziesz moją żoną”. (śmiech) Zorientowaliśmy się wtedy, że poznaliśmy się już wcześniej.

Czyli?

Iwona występowała w tanecznym zespole Arabeski. I w latach 70. spotkaliśmy się w Łodzi podczas programu „Lato, lato”. Spałem w tym samym hotelu co ona i zalecałem się do niej, ale dostałem kosza. Iwona zadzwoniła więc do koleżanki w Paryżu z Arabesek i pyta się jej, czy zna Irka Dudka. A ona: „Pewnie, to taki fajny chłopak z długimi włosami”. A ja już wtedy miałem krótką fryzurę. (śmiech) Te dziewczyny pamiętały mnie więc, a Iwona nie. Powiedziałem jednak, że zostanie moją żoną. A ona myślała, że ja żartuję. Zaprosiłem ją potem do Warszawy do hotelu Europejskiego. Z czasem zrozumiała, że ja tak na poważnie.

I jesteście do dziś razem.

Kiedy zakochałem się w Iwonie, ona pracowała jako modelka w Amsterdamie. Chodziła w poważnych pokazach, jej zdjęcie było na wielkich plakatach. Zarabiała dziesięciokrotnie więcej niż ja w Polsce. Postanowiłem więc pojechać do niej, obejrzeć trochę koncertów i spróbować samemu gdzieś pograć. Posiedziałem kilka lat w Amsterdamie, bo nie chciałem jej ograniczać. Kiedy urodziły się jednak nasze córki, powiedziałem: „Wychowajmy dzieci po polsku. Wracajmy do kraju”.

Zawsze prezentuje się pan na scenie w stylowych garniturach. To żona, jako była modelka, odpowiada za pana garderobę?

Do pewnego stopnia. Często są to moje pomysły. Kiedy mieszkaliśmy w Amsterdamie, miałem ulubiony butik Paula Smitha, angielskiego projektanta, który szył ubrania w stylu lat 60. Pasowało mi to, więc co roku przed Rawą Blues chodziłem tam i kupowałem sobie cały zestaw, żeby być inaczej ubranym. Mam więc trochę tych garniturów w szafie, ale ostatnio przytyłem trochę i muszę

popracować nad sobą, żeby się w któryś z nich wbić.

Pana córka Agata została klasyczną pianistką. To pana zasługa?

Chyba tak. Kiedy moja pierwsza córka Dorotka umarła w wieku ośmiu lat, nie chciałem, żeby Agatka poszła do tej samej podstawówki. Znalazłem dla niej szkołę muzyczną w Bielsku-Białej. Zaczęła więc grać na fortepianie. Kiedy miała iść do liceum, spytałem czy chce dalej się kształcić na tym instrumencie. Powiedziała, że tak, więc kupiłem jej poważny fortepian – Yamahę. Skończyła potem liceum i dostała się na Akademię Muzyczną w Katowicach. Miała bardzo dobrych profesorów i teraz przygotowuje się do nagrania płyty z muzyką Liszta. To trudne kompozycje, ale wymyśliła sobie, że to był rock and rollowiec swych czasów i chce zinterpretować je w taki właśnie sposób. Być może dzięki temu po ten album sięgną ci, którzy na co dzień nie są słuchaczami klasyki. Myślę, że to niezły pomysł i uda się jej.

Nie ukrywa pan, że bardzo ważną rolę odgrywa w pana życiu wiara. Trudno przyznać się do Jezusa w polskim show-biznesie?

Ja tego nie odczuwam i nie zastanawiam się nad tym. Zostałem wychowany po katolicku, moja mama bardzo dbała o wiarę w rodzinie. Dlatego przestrzegaliśmy wszystkich tradycji. Dzięki temu zauważyłem, że jakoś inaczej przeżywa się rok ze względu na kolejne święta. Nawet ten zwykły tydzień pracy z niedzielą, poświęconą Bogu i na odpoczynek, też ma głębszy sens. Od kilku lat chodzę codziennie do kościoła na mszę o siódmej rano i przyjmuję sakrament. To pomaga mi unieść te wszystkie choroby, które mnie nie omijają. Jestem inwalidą, choruję na serce i na cukrzycę, ale mam wrażenie, że niosę ten krzyż z uśmiechem. Kiedy leżałem na trzustkę lub ostatnio na te bypassy w szpitalu, to zawsze szukałem szpitalnej kaplicy. Modlitwa była dla mnie podporą, aby tę chorobę zwyciężyć. I zawsze się udawało.

O pana życiu powinien powstać film fabularny. Jakiego aktora widziałby pan w roli Irka Dudka?

Kiedyś miałem propozycję zrealizowania filmu o sobie, ale odmówiłem, bo napisali mi głupawe dialogi. „Nie będę z siebie robił wariata” – powiedziałem. (śmiech) A dziś kto mógłby mnie zagrać? Nie mam pojęcia. Na pewno musiałby być to ktoś młodszy ode mnie, żeby mógł zagrać mnie w moich najlepszych latach.

BYŁ KILKANAŚCIE RAZY W CZARNOBYLU. OBAŁA MITY

Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. – Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i świecący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Agnieszka Domka-Rybka

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo wokolicy Prypeci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła łuna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. – Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywistość tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna – podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic”, z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

Bydgoszczanina szczególnie pasjonują wyprawy do miejsc, które kryją sekrety, kręci go atmosfera opuszczonych miast i podziemi. Do tej pory odwiedził ponad 100 krajów, a w Czarnobylu był kilkanaście razy. Rozmawiał z ludźmi, m.in. byłymi mieszkańcami Prypeci, pracownikami elektrowni i słuchał specjalistów od energii jądrowej.

„Nie było żadnego grzyba atomowego”

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przejeżdżały cystermy z chemikaliami.

– Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do katastrofy – wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? – Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla”, wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legendarna, opuszczone miasto du-

chów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wrócisz ciężko chory” lub „w ogóle nie wrócisz” albo „będziesz świecił w ciemnościach”.

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: – Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl” zaczął się taki napływ turystów, że wycieczki trzeba było rezerwować z dużym wyprzedzeniem.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył się z mitem: – Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. Youtuberzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają”. Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść – relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: – Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: ukraińską i białoruską. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależnie od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej dostępna. To tam znajduje się



Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu”



Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto” Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzono też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie”.

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic”, katastrofa jest już mitem samym w sobie: – W filmach popularyzujących widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy domem mocno trzęsie, a gdzieś za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie. Zaczniemy od tego, że to nawet nie miała być elektrownia. Produkowano w niej pluton na potrzeby wojska do broni nuklearnej. I stworzono miejsce, które miało udawać elektrownię. Nietypowa konstrukcja z mnóstwem dziwactw technicznych. Reaktory o wiele większe niż standardowe, więc trudno je było zamknąć w obudowach bezpieczeństwa. Płatania tysięcy rur i spawów, nad którymi trudno zapanować, więc w końcu musiało dojść do rozszczelnienia, właściwie na życzenie ludzi – tak postrzega to Tomasz Górski. Jak twierdzi, ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: – Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkoloną do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebowaniem na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwac

w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniały się ekipy pracowników i przychodzili kolejni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsądziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono. Blisko bloku czwartego do dziś wisi tablica upamiętniająca pierwszą ofiarę Czarnobyla – pan Tomasz mówi, że widział tę tablicę.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: – Internet „informuje” nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Według pana Tomasza, mitem są również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, to, że ludzie zabrano i nie mogli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypeci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przenoszono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypeci: – Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypeci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze też działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerali), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy”, np. w słynnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): – On robi największe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elektrowni, dwóch pierwszych bloków,

z czasem strefa coraz bardziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowdzał nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?”. I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promieniają

Przypadkiem zobaczyłem słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka – „Igora z Czarnobyla”: – Miał chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniona. Nieszczęście Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pewnie owinęła się wokół nóżek i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: – Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bo wiem, gdyby nie ich działalność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Powstałby krater o średnicy 200 kilometrów, a strefa skażenia miałaby średnicę 800 kilometrów. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych, które dokonałyby takich zniszczeń. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? – Tak, w podziemiach szpitala w Prypeci. Trafił do niego strażak, którzy uczestniczyli w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Strasznie cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, przypomniałem, że wiele lat po katastrofie, musiałem je niechcący musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera (promieniowania jonizującego – red.) zaczął intensywnie narastać, aż przełączył się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Groźno” (zielona to „czysto” i świadczy o braku napromieniowania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promieniają. Szok. ©

CZYTELNIA

Co brat Franciszek znalazł w XXVI w. na pustyni Utah?

„Kantyczka dla Leibowitza” (woryginalie „A Cantic for Leibowitz”) to dość dziwny tytuł jak na powieść z gatunku s.f., prawda? Dlaczego zatem jej autor - Walter M. Miller Jr. - uparł się, by tak właśnie nazwać swoje najslawniejsze futurystyczne dzieło, wydane w 1959 r.?

Zachować co zostało

Powieść została podzielona na trzy części: „Fiat homo” (łac. „Niech stanie się człowiek”); „Fiat lux (łac. „Niech stanie się światłość”) i „Fiat Voluntas Tua” (łac. „Bądź wola Twoja”). Już same tytuły odnoszą czytelnika do chrześcijaństwa, historii i spraw ostatecznych.

Oto po wojnie jądrowej pozostali przy życiu ludzie atakują tych, których uznali za winnych katastrofy - naukowców i techników. Świat pogrąża się w szaleństwie i chaosie, a ludzkość cofa się do poziomu barbarzyństwa. W tych nowych wiekach ciemnych mnisi z Albertyńskiego Zakonu Leibowitza, żyjący w klasztorze na pustyni w stanie Utah, gromadzą i kopiują fragmenty starych tekstów, nawet jeśli ich już nie rozumieją.

Miller raczej nie znał powieści Hanny Malewskiej „Przemija postać świata” z 1954 r., która opisała upadek starożytnego rzymskiego świata i ocaleniu kultury chrześcijańskiej w trudnych czasach, ale jego intuicja podążała najwyraźniej tym samym tropem. Nie brak krytyków, wedle których „Kantyczka...” mogła mieć wpływ na powstanie i ewolucję tzw. nurtu clerical fiction.

Raczej nic już nie napiszę...

Sklon w kierunku religijnej eschatologii tłumaczy się w przypadku Millera epizodem z jego wojennego CV. Podczas II wojny światowej służył w USAF jako radiotelegrafista i strzelec i wziął udział m.in. w bombardowaniu opactwa benedyktyńskiego na Monte Cassino, co było dla niego dość wstrząsającym przeżyciem. Po wojnie przeszedł na katolicyzm.

Po ogromnym sukcesie „Kantyczki...” popadł w literacką niemoc i niewiele już opublikował. W ostatnich latach życia walczył zaś bardziej z depresją niż z brakiem weny. Popełnił samobójstwo podczas pracy nad kontynuacjami „Kantyczki...”, powieścią „Święty Leibowitz” i „Dzikokonna, ukończonymi później przez Terry’ego Bissona.

To nie powieść, to wyznanie

Już po kilku stronach lektury można się zorientować, że powieść Millera to znacznie więcej niż tylko opowieść s.f. To refleksja nad cyklicznością historii, naturą człowieka i starciem pomiędzy dobrem a złem. Czy umiejętność budowania - pyta autor „Kantyczki...” - tożsama z umiejętnością niszczenia, jest naszym nieuniknionym przeznaczeniem?

I jeszcze jedno: powieść porównywana jest często do „Folwarku zwierzęcego” czy „Roku 1984”, czyli stała się elementem kanonu literatury angielskojęzycznej i fantastycznonaukowej. Trudno to uznać za przypadek. **margra**



Walter M. Miller Jr., „Kantyczka dla Leibowitza”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 54,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

AGNIESZKA
KACZOROWSKA

Ma różne emocje

Tancerka podróżuje teraz po Polsce ze spektaklem „Siedem”, w którym partneruje jej obecny ukochany - Marcin Rogacewicz. W efekcie jej Instagram pęka w szwach od idyllicznych obrazków zza kulis. Ostatnio Kaczorowska postanowiła pokazać, że czasem nie jest tak różowo. Wrzuciła kilka czarno-białych kadrów i napisała: „Są różne emocje. Od stresu, po ekscytację. Czasem jest siła i energia, a czasem lekkie zmęczenie. Czasem to, z czym w danym dniu, tygodniu, mierzymy się w innych sferach życia, wpływa na stan ducha w dniu grania” - wyznała. Dodała jednak: „Taki jest nasz zawód. Zmienny. Nieprzewidywalny. Zaskakujący. I polega na zrozumieniu przepływu, tego między nami a wami i tego między sobą. Dlatego jest taki ciekawy”.

MARIA PRAŻUCH-PROKOP

Wzięła jogowy rozwód

Po ogłoszeniu rozstania z popularnym prezydentem jego żona z miejsca stała się celebrytką. Ale to tylko ją cieszy - bo może w swych social mediach promować treści związane z jogą, którą się profesjonalnie zajmuje. Kilka dni temu była gościem podcastu „Super Mamy”, w którym oczywiście opowiedziała o rozstaniu. - To po prostu naturalnie wypłynęło z tego, jacy my jesteśmy ze sobą. I wypłynęło to też z jogi, uważam. Bo było bardzo dużo jogi w tym. To było bardzo dużo spokoju, obserwacji, niereagowania, dawania czasu, żeby rzeczy się ułożyły, żeby każdy był w tym samym miejscu. Żeby to wszystko było w takim dobrym zespoleńiu jogowym. Rozwód jogowy. Po jogowemu - podsumowała.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN

I nieudany naleśnik

Wszyscy wiemy, że celebrytka jest obecnie żoną Radosława Majdana, a wcześniej była związana z Jackiem Rozenkiem. Mało się mówi o jej pierwszym mężu - Łukasz



FOT. ADAM JANIKOWSKI

Monika Richardson nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale jest bardzo dumna ze swojej córki

Bukaczewskim. Teraz prezenterka opowiedziała o tym związku w podcaście Bratnie Dusze. - Ja pierwszy ślub wzięłam na studiach z moim takim przyjacielem studenckim. To małżeństwo trwało kilka miesięcy. Trochę to było tak, że wszyscy wokół mówili, kiedy ślub, kiedy ślub, bo my byliśmy taką parą, która razem chodziła. No, ja sobie pomyślałam, że fajnie by było przeżyć ślub. Impreza była, wszyscy się fajnie bawili. Ale to było po prostu tak, jak pierwszy naleśnik, no trochę go robisz i on nie wychodzi - stwierdziła.

MAJA RUTKOWSKI

Jest w innej lidze

Żona słynnego detektywa robi wszystko, aby nie pozostać w jego cieniu. Ostatnio pochwaliła się na Instagramie... biżuterią nązębną. Rutkowska wrzuciła filmik, na którym uśmiecha się szeroko. Na śnieżnobiałych zębach widać ozdoby w postaci złota i rubinów. „Poszłam do dentysty i wyszłam z upgradem. Złoto + rubiny na zębach. I teraz pytanie do was, czy to już level „Wow, jaki vibe”, czy raczej „Mmm... odważnie, ale czy nie za bardzo?” Bo wiecie diamenty na zębach już trochę się oswoiły, ale złoto? Z rubinami? To już inna liga” - podpisała nagranie. Część obserwatorów była zachwycona ozdobami, a część uznała to za idiotyczny pomysł. Najbardziej celny okazał się jeden komentarz: „Wyglądasz, jakbyś miała jedzenie na zębach”.

PIOTR GĄSOWSKI

Wjechał do rowu

Zarówno Piotr Gąsowski, jak i Maciej Dowbor i Joanna Koroniewska mają domy w Hiszpanii, które znajdują się w tej samej miejscowości. Kilka dni temu aktor opisał na Instagramie przygodę, jaka przytrafiła mu się po drodze do swych przyjaciół. „Biorę skuter, zamiast wziąć samochód i decyduję się jechać na skróty. Skuter podjeżdża pod górę, nagle staje i robi „puf”. Właśnie tak to wygląda. Wleciałem w rów, urwałem sobie lusterko, szyba stłuczona, nie mogę go wydość. Maciek i Tomek pomogli mi wyciągnąć mojego rumaka z rowu i pojechaliśmy już razem do Dowborów. To był uroczy wieczór, pełen wspomnień!” - podsumował.

MONIKA RICHARDSON

Jest pełna wdzięczności

Prezenterka nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale wiadomo, że ma dwójkę dzieci z byłym mężem Jamiem Malcolmem - syna Tomasza i córkę Zofię. Kilka dni temu Zofia obchodziła 21. urodziny. Z tej okazji Richardson wrzuciła na Instagram zdjęcie dziewczyny. „Córka Zofia. Osoba empatyczna i sympatyczna. Mądra i pełna wdzięku. Artystycznie utalentowana i z wielkim poczuciem humoru. No i piękna też. Serce przepelnia mi miłość i wdzięczność za nią” - napisała.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dzień sprzyja działaniu, lecz uważaj na impulsy. Horoskop dzienny mówi, że spokój da przewagę i lepsze decyzje.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na relacjach z otoczeniem. Horoskop na dziś wróży, że mały gest może znaczyć więcej niż wielkie słowa.

Baran (21.03 - 19.04)

Komunikacja będzie kluczem. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo ktoś chce przekazać ważną informację.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje mogą falować, ale intuicja cię poprowadzi. Horoskop dzienny radzi nie ignorować przeczuć.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja energia będzie przyciągać uwagę. Horoskop na dziś sugeruje wykorzystać ją mądrze, by osiągnąć coś naprawdę ważnego.

Rak (22.06 - 22.07)

Dzień sprzyja porządkom i planowaniu. Horoskop dzienny na piątek mówi, że małe kroki dziś stworzą solidne fundamenty jutra.

Lew (23.07 - 22.08)

Szukaj równowagi między pracą a odpoczynkiem. Horoskop dzienny zapowiada, że harmonia pozwoli uniknąć zbędnych napięć.

Panna (23.08 - 22.09)

Intensywne emocje mogą cię zaskoczyć. Horoskop na dziś podpowiada, by zachować kontrolę i działać z rozumą, a nie impulsem.

Waga (23.09 - 22.10)

Pojawi się okazja do nauki lub podróży. Horoskop dzienny na piątek radzi zachować otwartość na nowe doświadczenia i ludzi.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Skoncentruj się na celach. Horoskop na dziś zapowiada, że wytrwałość dziś przyniesie efekty, choć mogą one być subtelne...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoje pomysły będą cenne. Horoskop na dziś radzi podzielić się nimi, bo ktoś może pomóc ci je zrealizować.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Dzień sprzyja refleksji i twórczości. Horoskop dzienny na piątek radzi znaleźć chwilę dla siebie i pozwolić myślowo swobodnie płynąć.



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

POLSKI MOST UWAŻANY ZA CUD TECHNIKI

Śpośród wielu budowli wznoszonych przez ludzi na szczególne uznanie zasługiwały zawsze mosty. Były zawsze bardzo potrzebne, trudne w budowie i na swój sposób bardzo piękne.

W moich felietonach tu publikowanych pisałem już o mostach krakowskich: O Moście Królewskim, który łączył miasto z położoną na osobnej wyspie miejscowością Kazimierz (7.8.2019), o Moście Cesarskim (14.8.2019), o Moście Kraka (21.8.2019), o Moście Marszałka Piłsudskiego (28.8.2019), oraz o Moście Dębnickim (4.9.2019). Wspominam o tym, bo dziś chcę opowiedzieć o moście, który powstał z inicjatywy Krakowianina, króla Zygmunta Augusta, ale zbudowany został w Warszawie.

Most budował polski konstruktor Erazm z Zakroczymia. Budowa trwała długo, bo aż 5 lat (1568-1573), bo most miał ponad pół kilometra długości i 6 metrów szerokości.

Ale zbudowany most budził powszechny podziw, pisali o nim odwiedzający Warszawę cudzoziemcy, na przykład był on opisany w dziele Georga Brauna wydanym w 1617 roku.

Most oparto na 18 podporach w postaci pali wbitych w dno rzeki. Do ich wbijania użyto pływającego na tratwie olbrzymiego okutego żelazem kafara (spadającego z góry młota). Do podniesienia owego młota potrzebna była - jak notują kroniki - siła stu mężczyzn. Ta informacja jest jednak moim zdaniem nieprawdziwa - gdzie by ten tłum wciągających kafar robotników miał się podziąć? Na tratwie? Niemożliwe! Na brzegu? Niewygodne.

Tak czy inaczej te pale wbity w dno Wisły i niosły one na sobie ciężar mostu i znajdujących się na nim pojazdów i przechodniów

Żeby płynąca z prądem rzeki wiosenna kra owoch podpór nie uszkodziła - osłonięto je od strony nadpływającej wody potężnymi osłonami (izbicami).

Dodatkowym problemem był ruch transportowy na Wiśle - płynęły nią często barki z różnym ładunkiem (głównie ze zbożem przeznaczonym na eksport), a także ogromne

tratwy z eksportowanymi pniami drzew dla stoczni, których spływem kierowali doświadczeni flisacy

Żeby te barki i tratwy w razie potrzeby przepuszczać - 5 podpór od strony Pragi nie było wbitych w dno rzeki, tylko było pływających, z możliwością ich odsuwania dla przepuszczenia nadpływających statków. Wymagało to oczywiście stałego nadzoru, obsługi i konserwacji, ale działało podobno bez zarzutu.

Poza sukcesem technicznym polskich budowniczych tego imponującego mostu warta odnotowania jest hojność krakowskiego króla dla niebędącej wtedy jeszcze stolicą Warszawy. Za opisaną budowlę król zapłacił rzemieślnikom 100 tysięcy czerwonych złotych. Kronikarze piszą, że był to niewyobrażalny majątek. Poszukałem informacji, jaka była wartość nabywcza czerwonego złota (bitego z czystego złota) za czasów ostatnich Jagiellonów i potwierdza, że był to wielki majątek. Sama moneta nazywana „czerwonym złotym” ważyła 3,4987 grama czystego złota (próby 0,986) i miała wartość 30 ówczesnych groszy. Tyle właśnie kosztował zimowy kożuch. Za jednego czerwonego złota można było kupić dwa cielaki. Tona zboża kosztowała około 3 czerwone złote. Dobry koń (bardzo ważny w tamtych czasach) kosztował około 10 czerwonych złotych

Kosztowny, ale łatwopalny most wybudowany w Warszawie przez jej królewskiego brata martwił królową Annę Jagiellonkę, która zresztą doгляdała prac wykończeniowych przy moście, bo Zygmunt August zmarł w 1572 roku, przed ukończeniem budowy.

Powodów do zmartwienia było sporo, bo położone nad Wisłą przedmieścia zamieszkiwała ludność niezbyt dbająca o swoje domostwa, więc pożary były tam na porządku dziennym. Dlatego w roku 1582 nakazała zbudowanie ceglanej baszty wjazdowej, która chroniła most przed pożarem i pozwalała sprawdzać, kto na most wjeżdża. Takie to były dzieje mostu zbudowanego przez Krakowianina w Warszawie!

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 508 26 26 84,
Przez internet: www.ogloszenia.polskapress.pl
E-mail: jan.kurdys@polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń: Kraków, Zabłocie 43a

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

MIESZKANIE.LOKAL.GARAŻ.

DZIAŁKĘ tylko od właściciela kupię.
510 061 820

LOKALE UŻYTKOWE - DO WYNAJĘCIA

WYNAJME lokal 150 m², centrum
Krakowa. 501-334-338

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu
i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

500-692-371 Kupię każdy samochód

Nauka

KURSY/SZKOLENIA

KOMPUTEROWE kursy: 501-179-640.

Nauka

KURSY/SZKOLENIA

KOMPUTEROWE kursy: 501-179-640.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Zdrowie

STOMATOLOGIA



Akryle, protezy, nylony, szkielety,
mosty. Boh. Września 1,
12/645-93-33.

Usługi

AGD RTV FOTO

! ANTENY ! RTV dom. 575-412-346.

NAPRAWIAMY: Thermomix,
ekspresy, odkurzacze, koparki.
12/421-11-55.

BUDOWLANO-REMONTOWE

DACHY malowanie 608 791 579

MALOWANIE dachów 883 993 709

INSTALACYJNE

!!!500-003-103 HYDRAULIK

!!!HYDRAULIK 500-003-103 AWARIE

HYDRAULICY AWARIE 730-066-539

OGRODNICZE

ZADBANY_OGRÓD_BEZ_WYSIŁKU!

Pielęgnacja ogrodów. Tel. 790 622 685

Turystyka

Beskidy turnusy 7 dni od 1050
zł z 30% dofin. dla emerytów/
rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Matrymonialne

KAWALER 52 lata, rencista, majątny
pozna życiową partnerkę, stanu
wolnego w wieku 22-43 lata, może być
z dzieckiem. Czekam na miłość. Adam
z Oświęcimia, tel. 730- 244-629.

WÓJT GMINY MICHAŁOWICE

informuje o wywieszeniu na okres 21 dni, tj. **od dnia 8 maja 2026 roku do dnia 29 maja 2026 roku** w siedzibie Urzędu Gminy Michałowice, Plac Józefa Piłsudskiego 1, 32-091 Michałowice, i zamieszczeniu w Biuletynie Informacji Publicznej Gminy Michałowice <https://bip.malopolska.pl/ugmichalowice/> oraz na stronie internetowej Urzędu Gminy Michałowice <https://www.michalowice.malopolska.pl> wykazu części nieruchomości przeznaczonej do oddania w użyczenie na okres do 3 lat, oznaczonej jako część działki nr 117/3 poł. w Zagórzycach Dworskich, stanowiącej własność Gminy Michałowice, powiat krakowski.



Czytaj

„DZIENNIK POLSKI”
w Internecie

wejdź na

www.dziennikpolski24.pl
i wiesz więcej

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe

GABRIEL

GWARANCJA NAJKORZYSTNIEJSZYCH CEN
BEZGOTÓWKOWE ROZLICZENIE POGRZEBÓW
W RAMACH ZASIŁKU ZUS, KRUS I MSWiA

tel. **696 038 038**

DYŻUR CAŁODOBOWY
PRZEWOZY Z MIESZKAŃ

ul. Wrocławska 8 (róg ul. Śląskiej)



www.gabriel24.pl

REKLAMA

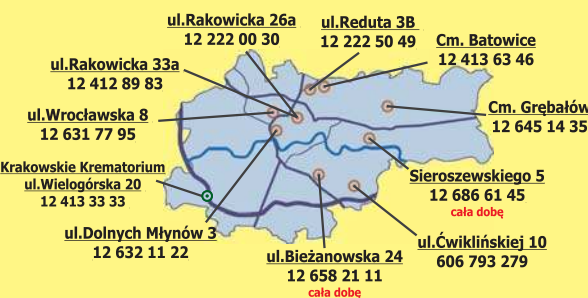
0011517264

KARAWAN GRUPA

FIRM POGRZEBOWYCH
TRADYCJE OD 1981 ROKU

www.karawan.pl

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe



REKLAMA

0011517240



Kompleksowa Obsługa Pogrzebów

DYŻUR CAŁODOBOWY
12 650 97 10

📍 Cmentarz RAKOWICE
ul. Rakowicka 31a
tel. 12 411 67 58

📍 ul. Bochnaka 7
tel. 12 650 97 10

📍 Cmentarz BATOWICE
ul. Reduta 3c
tel. 12 452 31 10

📍 ul. Prądnicka 41
tel. 12 634 38 53

www.epitafium.krakow.pl

0011517224

Lilia

zakład pogrzebowy

- kompleksowa organizacja uroczystości pogrzebowych
- rozliczenie bezgotówkowe
- całodobowy transport zmarłych
- szeroki wybór trumien i urn
- kwiaty, tabliczki, klepsydry, nekrologi
- kremacje

KRAKÓW, ul. Św. Łazarza 21, tel. 12 421 24 80
KRAKÓW, ul. Bronowicka 19, tel. 12 637 00 07
KRAKÓW, ul. Grota Roweckiego 7G, tel. 507 111 121
CMENTARZ BATOWICE, ul. Powstańców 20, tel. 507 125 130
CMENTARZ RAKOWICE, ul. Rakowicka 39, tel. 507 111 456

www.liliakrakow.pl

DYŻUR CAŁODOBOWY **507 111 211**

0011520510

Pani
Annie Dumas
*Sędzi Naczelnego Sądu Administracyjnego
Prezes Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego
w Krakowie*

najszczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają

*Wiceprezesa, Dyrektora, sędziowie i pracownicy
Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego
w Krakowie*

AUTOREKLAMA

Nekrologi

zamówisz tutaj:
12 6 888 444, 508 26 26 84
Kraków, ul. Zabłocie 43 A
reklama.krakow@polskapress.pl

0011519798

PODZIĘKOWANIE

Szanowni Państwo,
Chcemy podziękować wszystkim Państwu,
którzy towarzyszyli nam w ostatniej drodze
naszego Męża, Taty, Dziadka i Pradziadka,

Prof. zw.
**Tadeusza Witosława
Cichockiego**

Dziękujemy szczególnie
Panu Profesorowi Maciejowi Małeckiemu,
Prorektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego
ds. Collegium Medicum
za wygłoszenie wzruszającej, osobistej laudacji.
Dziękujemy za obecność
Panu Dziekanowi UJ CM,
Dyrekcji Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego
w Krakowie,
Dyrekcji Szpitala Klinicznego im. J. Babińskiego
w Krakowie,
byłym Rektorem i Prorektorem, Kierownikiem Klinik,
Zakładów i Instytutów, Profesorom,
Lekarzom prowadzącym, Pracownikom Uczelni,
Rodzinie, Przyjaciołom, Koleżankom i Kolegom,
Studentom oraz wszystkim Osobom
ze środowisk ważnych w życiu naszego Taty.
Dziękujemy za Państwa wsparcie i wyrazy otuchy
tak dla nas cenne w tym dniu.

Non omnis moriar

Ewa i Łukasz Cichoccy z Mamą i z Rodzinami

0011449270

Bogumiła Boczkowska
STELA
ZAKŁAD USŁUG
POGRZEBOWYCH
www.stelakrakow.pl

KOMPLEKSOWA OBSŁUGA POGRZEBÓW - ROZLICZENIE BEZGOTÓWKOWE

DYŻUR CAŁODOBOWY

ul. Powstańców 48 ☎ **12/413 02 02**

również w soboty i święta

ul. Powstańców 48 (cm. Batowicki) czynne 7.30-15.30
Do Państwa dyspozycji również MELEX osobowy

12/410 45 70
12/417 35 35
12/412 77 55

0011515553

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że 26 stycznia 2026 odeszła
nasza ukochana Mama

Teresa Ringer

z domu Bildziukiewicz

Córka Stanisława i Stanisławy de domo Miesowicz,
wdowa po krakowskim dziennikarzu Zbigniewie Ringerze.

Nasza Mama, młodsza córka prokurenta rafinerii Polmin, urodziła się w polskim, przedwojennym Drohobyczu.
Po ucieczce całej rodziny przed sowietami w 1940 roku i utracie całego majątku, Bildziukiewiczowie osiedlili się w Krakowie.

Mama ukończyła liceum Sióstr Prezentek i nie dostawszy się na romanistykę z powodu ziemiańskiego pochodzenia i ukończenia „niewłaściwej” szkoły średniej,
dostała ostatecznie pozwolenie na studia dziennikarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie poznała naszego Ojca.

Przez dziesiątki lat Mama pracowała jako korektorka w krakowskim „Dzienniku Polskim” i okazjonalnie w „Tygodniku Powszechnym”, i w innych wydawnictwach.
Była osobą niezwykle czytana i posiadała erudycyjną wiedzę. Pasjonowała się dobrym kinem i teatrem. Wyprowadzała, uprawiała wioślarsstwo i narciarstwo.

Swoim córkom, które osiedliły się za granicą, pomogła odchowować troje wnucząt, doczekawszy się później sześciorożni prawnucząt.

Była kobietą delikatną i wrażliwą, pełną klasy. Nie była łatwa w nawiązywaniu przyjaźni, ale szczególną sympatią darzyła ludzi młodych,
którzy zawsze dobrze i bezpiecznie czuli się w jej towarzystwie.

Dzisiaj jest już tam, w innym świecie, gdzie czekał na nią Zbigniew.



Msza Święta zostanie odprawiona w dniu 15 maja 2026 r. o godz. 12.20 w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim,
po czym nastąpi odprowadzenie prochów Zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku.

O czym zawiadamiają pogrążeni w żałobie

*Córki Bieta i Misia, wnuki Jakub, Kolinka i Edgewood, prawnuki Roman, Gabriel, Hanna,
Stasia, Winn i Van, starsza siostra Barbara, siostrzenice Iwona i Małgorzata
oraz liczni przyjaciele*

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: aforyzm Adama Decowskiego.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEZ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMOW.

Scenariusze dla Cracovii? Wszystko się może zdarzyć

Jacek Żukowski

jacek.zukowski@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Cracovia walczy o utrzymanie w ekstraklasie. Do zakończenia rywalizacji zostały jeszcze trzy kolejki. Wszystko może się zdarzyć. Z najwyższą klasą rozgrywkową pożegnał się już Bruk-Bet Termalica.

Jakie dwa zespoły będą towarzyszem jej niedoli? Wariantów jest bardzo dużo.

Według wyliczeń statystyków, m.in. Piotra Klimka na portalu X, by zachować miejsce w elicie potrzeba 42 punktów, a 43 to prawie pewność. „Pasy” mają 39 i do względnego spokoju potrzebują 3 - 4 punktów. Przyjmując założenie, że 43 „oczka” to gwarancja pozostania w lidze, to jeszcze aż 9 drużyn walczy o uniknięcie spadku. 9. w tabeli Pogoń Szczecin nie może być pewna swego, ma 41 punktów, a z kolei 17. w klasyfikacji Arka Gdynia (34 punkty, ale jeden mecz zaległy) nie postradała jeszcze nadziei na utrzymanie.

Jest jeszcze kilka spotkań między zainteresowanymi drużynami, choćby w najbliższy weekend pomiędzy Widzewem Łódź, a Lechią Gdańsk. Wiadomo, że Gdańszczanie, którzy zaczęli sezon z -5 punktami - była to kara za nie spełnienie wymogów finansowych - nie odzyskują ich.

Jak wygląda sytuacja w tabeli i terminarz? 9. Pogoń Szczecin - 41 pkt (mecze z: Jagiellonią (wyjazd), Zagłębiem (w), GKS Katowice (d)). 10. Piast Gliwice - 40 pkt (GKS (d), Raków (d), Widzew (w)). 11. Legia Warszawa - 40 (Bruk-Bet (w), Lechia (w), Motor (d)). 12. Korona Kielce - 39 (Raków (w), Widzew (d), Cracovia (w)). 13. Cracovia - 39 (Radomiak (d), Motor (w), Korona (d)). 14. Motor Lublin - 39 (Wisła (w), Cracovia (d), Legia (w)). 15. Lechia Gdańsk - 38 (Widzew (w), Legia (d), Bruk-Bet Termalica (w)). 16. Widzew Łódź - 36 (Lechia (d), Korona (w), Piast (d)). 17. Arka Gdynia - 34 (Lech (w), Górnik (d, zaległy), Bruk-Bet (d), Raków (w)).

Może zaistnieć sytuacja, że „Pasy” nie zdobędą już ani jednego punktu, a jednak utrzymają

się, mając 39 pkt. Jak to możliwe? Zaistnieje ten scenariusz, gdy Lechia nie zdobędzie już ani jednego punktu, Widzew nie więcej niż dwa, a Arka nie więcej niż cztery. Tylko jedna z tych drużyn może nie spełnić warunku. Wtedy Krakowianie nie zostaną wyprzedzeni przez co najmniej dwa zespoły i zostaną w lidze. Tyle samo punktów co „Pasy” ma Korona i Motor, ale nie bierzemy ich pod uwagę, bo grają jeszcze z Cracovią i wygrywając wyprzedzą „Pasy”, jeśli te nie będą w ogóle punktować. To jednak wręcz nieprawdopodobny scenariusz.

„Pasy” wygrywają jeden z trzech meczów, a jeden remisują. Wtedy z 43 punktami powinni się utrzymać. Tak jak napisaliśmy, także trzy punkty w trzech meczach powinny zapewnić im byt. Mogą więc wygrać jeden mecz, albo uzyskać trzy remisy. Prawdopodobnie sezon np. z 42 punktami zakończy więcej niż jedna drużyna, wtedy trzeba rozpatrywać wyniki meczów pomiędzy zainteresowanymi - dotyczy to może dwóch zespołów, ale równie dobrze trzech, cze-

rech, a nawet większej liczby drużyn. Co wtedy? Obowiązywać będą tzw. „małe tabelki” w których uwzględnia się tylko mecze między zainteresowanymi - liczą się najpierw punkty, a potem bramki. Gdy jest równość punktowa i bramkowa, wtedy obowiązuje bilans bramkowy ze wszystkich meczów w sezonie. „Pasy” nie mają się czym pochwalić, będąc na minusie: 35-38. Ujemny bilans ma też Pogoń (-2 gole), Piast (-1), Legia (-1), Motor (-7), Widzew (-2), Arka (-23). Tylko Korona i Lechia są na plusie (+1).

Jak natomiast wypada Cracovia w bilansie z poszczególnymi zespołami? Na plus jest z Widzewem (1:0 i 0:0), na minus z Pogonią (1:2 i 2:2), Arką (2:2, 1:2), na równi z Piastem (0:0 i 0:0), Legią (2:1 i 0:1), Lechią (2:2 i 1:1). Porozegraniu jednego spotkania na raz jest lepsza od Korony (1:0), gorsza zaś od Motoru (1:2).

Można rozpatrywać też „małe tabelki” złożone z 3 zespołów. Kombinacji jest wiele, ale jeśli np. „Pasy” znajdą się w takim zestawieniu z Widzewem albo z Piastem, bądź z Legią, a trzeci zespół



FOT. CRACOVIA.PL

Czy piłkarze Cracovii będą się tak mogli cieszyć z utrzymania po sezonie? Odpowiedź najpóźniej 23.05

będzie tym, z którym mają zły „bilateralny” bilans, mogą się obrotować. Dla przykładu w wariantcie z Legią i Pogonią wygrywa Legia (9 pkt), „Pasy” są drugie (4 pkt, bramki 4-5), a Pogoń trzecia (4

pkt, bramki 4-6). Z kolei w rywalizacji z Arką i Widzewem wychodzą na plus. Wszystkie zespoły mają po 5 pkt, ale Łódzianie najlepsze bramki (2-1), przed Cracovią (4-4) i Arką (4-5). ©

Poznaliśmy finalistów Ligi Mistrzów. Paris Saint-Germain przed niepowtarzalną szansą

Jakub Jabłoński

redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. PSG awansowało do finału po wygraniu dwumeczu z Bayernem (7:6). W rewanżu padł remis 1:1, a o losach rywalizacji przesądziły gole Ousmane'a Dembele i Harry'ego Kane'a.

Piłkarze PSG po szalonym dwumeczu z Bayernem awansowali drugi rok z rzędu do finału Ligi Mistrzów. Drużyna prowadzona przez Luisa Enrique w rewanżu błyskawicznie objęła prowadzenie - już w 3. minucie spotkania Dembele dał radość przyjeźdnym. Bayern zdołał odpowiedzieć dopiero w doliczonym czasie. Do siatki trafił Kane, dla którego był to już 55. gol w sezonie.

Kontrowersje w roli głównej

Więcej niż o samej grze po spotkaniu mówiło się jednak o kontrowersjach, które pojawiły się w pierwszej połowie. Sędzia João Pedro Pinheiro z Portugalii nie ukarał Nun

Mendes za zagranie ręką, a później nie podyktował rzutu karnego dla Bayernu. Vitiha wybił bowiem piłkę ze swojego pola karnego, ale przypadkowo trafił nią w rękę swojego kolegi João Nevesa. Decyzja? Brak jedenastki dla gospodarzy, którzy momentalnie ruszyli do niego z pretensjami.

Jak się okazało, arbiter podjął słuszną decyzję w myśl obowiązujących interpretacji.

- Bardzo często o tym mówiłem. To jest taki przepis, który powiem szczerze, nie podobają mi się, ale pragnę podkreślić - bo widzę, że piłkarze Bayernu na czele z trenerem tego nie znali - że nastrzelenie partnera z drużyny w rękę, kiedy ten nie miał czasu na reakcję, nie jest przewinieniem - tłumaczył na antenie Canal+ Sport ekspert sędziowski Adam Lyczmański.

Paryżanie jak... Real Madryt?

W finale w Budapeszcie PSG będzie broniło tytułu wywalczonego przed rokiem po efektownym zwycięstwie 5:0 nad

Interem Mediolan. Paryżanie staną przed szansą zapisania się w historii - jako druga drużyna, po Realu Madryt, która wygra rok po roku elitarnie rozgrywki spod szyldu UEFA.

Tym razem rywalem będzie Arsenal Londyn, który osiągnął drugi finał Champions League w historii. Poprzednio Kanonierzy walczyli o to trofeum dokładnie 20 lat temu, przegrywając z FC Barceloną.

Zdecydowany faworyt bukmacherów

Podopieczni Mikela Artety w półfinale wygrali rewanż z Atletico Madryt 1:0 (a cały dwumecz 2:1). Nie jest tajemnicą, że przed decydującym starciem w Budapeszcie faworytem bukmacherów będzie PSG. Francuski zespół miał znacznie trudniejszą drogę do finału - po drodze eliminował nie tylko Bayern, ale również Liverpool i Chelsea FC. Arsenal przed półfinałem mierzył się natomiast ze Sportingiem Lizbona oraz Bayerem Leverkusen. Finał odbędzie się w sobotę, 30 maja, o godzinie 18. ©

REKLAMA

0011518884

CRACOVIA

X RADOMIAK RADOM

STADION CRACOVII | PONIEDZIAŁEK 11.05.2026 | GODZINA 19:00

Ekstraklasa

SPORT

www.sportowy24.pl

SPORT W TV

12.25 Polsat Sport 1, hokej, MŚ dywizji IA: Kazachstan - Francja; **15.55 Polsat Sport 1**, hokej, MŚ: Ukraina - Japonia; **16.30 Eurosport 1**, kolarstwo, Vuelta Femenina (6. etap); **17.30 Canal + Sport**, Canal + Sport 5, żużel, ekstraklasa:

Press Toruń - Stelmet Falubaz; **17.55 Canal + Sport 3**, p. nożna, ekstraklasa: Raków - Korona; **19.25 Polsat Sport 1**, hokej, MŚ: Polska - Litwa; **20 Canal + Sport**, żużel, ekstraklasa: GKM Grudziądz - Unia Leszno; **20.25 Canal + Sport 3**, p. nożna, ekstraklasa: Lech

- Arka; **20.55 TVP Sport**, I liga: Wisła - Chrobry. (ŻUK)

LOTTO

Środa, 6.05, Multi Multi (22): 2, 4, 10, 11, 14, 16, 17, 24, 25, 36, 38, 39, 42, 45, 47, 55, 66, 68, [74], 75; **Kaskada (22):** 1, 2, 3, 6, 10, 11, 12, 13, 17, 18, 22, 24; **Mi-**

ni Lotto: 3, 6, 23, 26, 41; **Ekstra Pensja:** 6, 10, 14, 24, 25 - 4; **Ekstra Premia:** 1, 5, 7, 18, 29 - 1 **Czwartek, 7.05, Multi Multi (14):** 3, 5, 11, 13, 14, 18, 19, 22, 28, 34, 36, 44, 49, [50], 51, 57, 64, 69, 72, 74; **Kaskada (14):** 1, 4, 5, 10, 11, 13, 14, 17, 19, 20, 22, 24

Jubileusz Tomasza Tułacza. Poprowadzi Puszczę po raz 400.

Jacek Żukowski

jacek.zukowski@polskapress.pl

WYDARZENIE. Dla trenera Tomasza Tułacza mecz ze Stalą Mielec (sobota, godz. 19.30) będzie szczególny. Będzie to bowiem 400. spotkanie w roli szkoleniowca Puszcz Niepołomicze.

Z tej okazji dokonaliśmy krótkiego przeglądu kilku ważnych spotkań, które Niepołomiczanie grali pod wodzą trenera.

1. mecz Puszcz - Wisła Puław 1:1 (15.08.2015)

Po bramce Brozia wygraliśmy, weszliśmy mocno w mecz - wspomina Tułacz. - A Wisła była wtedy liderem. Jarosław Niezgoda doprowadził do remisu. Pierwsze zwycięstwo odnieśliśmy w 4. kolejce wygrywając w Bytomiu z Polonią 5:4. cały mecz przegrywaliśmy, a w 89 min zdobyliśmy zwycięską bramkę. Zawsze stawiałem na stałe fragmenty gry i dziś mam satysfakcję, że najlepsze drużyny na świecie to stosują. I taka dygresja, jak ktoś zapyta, co Puszcz zostawiła po sobie w ekstraklasie to właśnie rzuty z autu.

100. mecz Puszcz - GKS Katowice 1:0 (25.04.2018)

W tym meczu grał z dzisiejszej kadry już Konrad Stepień. - Współczuję mu tyle lat się ze mną męczyć - żartuje Tułacz. - Ja jako piłkarz nigdy nie pracowałem z jednym trenerem tak długo. A to już jest jego ósmy rok. Ilu zawodników prowadziłem przez te ponad 10 lat? Ktoś obliczył, że 168 zawodników i mam ogromną satysfakcję, że 68 z nich to młodzieżowcy. Od początku taka była moja filozofia - zawsze bramkarz był młodzieżowcem i jeden zawodnik z pola. Wiele tych naszych byłych młodzieżowców gra w ekstraklasie, a także za granicą.

200. mecz Puszcz - Lechia Gdańsk 3:1 w 1/8 PP (9.02.2021)

- Graliśmy w Sosnowcu - wspomina Tułacz. - U nas nie było podgrzewanej murawy. - Awansowaliśmy do ćwierćfinału, w całej mojej historii w Puszcz kilka razy i raz do półfinału.

300. mecz Radomiak - Puszcz 1:1 (23.09.2023)

- To już była ekstraklasa - rozrzuca się trener „Żubrów”. - Słowiej strzelił na 1:0 dla nas, a Zych



Feta w Niepołomicach po awansie Puszcz do ekstraklasy. Z lewej Tomasz Tułacz, z prawej prezes Jarosław Pieprzycza

wcześniej obronił karnego. Bardzo miło wspominał ekstraklasę, mam nadzieję, że jeszcze będę miał kiedyś szansę poprowadzić zespół w najwyższej klasie rozgrywkowej. Mam taką refleksję, o ile mój pierwszy mecz pamiętam doskonale, to te jubileuszowe już mniej. Ale każdy przybliżył nas do tego, co osiągnęliśmy. To pokazuje, jaką drogę przeszliśmy, z jakimi ludźmi przyszło mi współpracować.

Było wiele kluczowych, pamiętnych spotkań, które nie miały „okrągłej”, jubileuszowej liczby.

Baraż o ekstraklasę, półfinał: Wisła Kraków - Puszcz 1:4 (6.06.2023) i finał: Bruk-Bet Termalica - Puszcz 2:3 po dogrywce (11.06.2023)

- Te baraże przejdą do historii - nie ma wątpliwości opiekun Niepołomiczan. - Mecz w Krakowie miał swoją dramaturgię, bo w 24 min musiałem zmienić zawodnika. Thiakane miał żółtą kartkę i była wywierana presja na arbitrze, by pokazać mu kolejną. Wszedł Zapolnik i zdobył gola na 1:0, a potem wszedł Klisiewicz i strzelił dwie bramki. To było dla mnie jedno z większych doświadczeń trenerskich jeśli chodzi o za-

rzadzanie meczem. Kolejny mecz o ekstraklasę, w Niecieczy miał nieprawdopodobny przebieg. Dokonaliśmy czegoś, co przekraczało nasze wyobrażenia.

Widzew Łódź - Puszcz 3:2 (23.07.2023)

Debiut Puszcz w ekstraklasie. - Mimo porażki doceniam jedną z najładniejszych bramek, jakie zdobyliśmy, autorstwa Artura Siemaszki - wspomina szkoleniowiec. - Potem przyszła wysoka porażka 1:4 z Jagiellonią Białystok, przyszłym mistrzem Polski. Następnie wygrana ze Stalą Mielec 1:0, pierwsza w ekstraklasie.

Lech Poznań - Puszcz 8:1 (3.05.2025)

W drugim sezonie w ekstraklasie Puszcz doznała klęski ze zmiernym tytułu mistrza Polski Lechem.

- To był nieprawdopodobny mecz, Lech oddał 9 strzałów celnych i zdobył 8 bramek, z których połowa to gole z kategorii „stadiony świata”. Lech był zmobiliowany, bo wcześniej dwa razy przegrał u nas - zaznacza Tułacz. - To wstydliva porażka, negatywne wspomnienie. Ale też z perspektywy mogę być dumny z tego, że pokazaliśmy, że jesteśmy małym klubem, a mimo to

doprowadziliśmy do sytuacji, w której rywalizujemy z Legią, Lechem. A tego sobie nikt nie wyobrażał.

Puszcz - Lechia 1:1, karne 4:2 w 1/8 PP (21.09.2016)

I znów mecz z Lechią, i znów w PP. - Lechia przyjechała do nas jako lider ekstraklasy - zauważa Tułacz. - A my jako II-ligowiec sprawiliśmy ogromną sensację, eliminując rywal w karnych. Wydawało się, że jest to poza granicą naszych możliwości, a jednak stało się.

Górnik Łęczna - Puszcz 1:1, k. 9:10 w 1/16 PP (25.09.2024)

- Michał Perchel nie dość, że obronił dwie „jedenastki”, to jeszcze jedną strzelił! - mówi o bohaterze meczu trener. - To pozwoliło nam na awans, a nasza droga zakończyła się w półfinale.

Można by wymieniać i wymieniał ciekawe mecze. Na pewno zaliczyć do nich należy mecz w lidze z ŁKS-em w Łodzi zremisowany przez Puszcz 4:4 i trzy gole Żytka. I ten o awans do I ligi z Gryfem Wejherowo (0:0).

- To był dramatyczny mecz - wspomina Tułacz. - Zespół był jakiś taki „pospinany”. Nawet zmarnowaliśmy karnego. Dowiedzieliśmy to 0:0, co przy porażce Radomiaka z Legionovią dało nam awans.

A teraz przychodzi ten mecz numer 400 w drogiem sercu Tułacza Mielcu, który jest wychowankiem Stali. Gospodarze bronią się przed spadkiem, Puszcz walczy o baraże.

Życie pisze najlepsze scenariusze - mówi trener. - Odczuwam ogromną wdzięczność wobec osób, które spotkałem na swojej drodze przez tyle lat, mówię tu o zawodnikach, trenerach, ludziach zarządzających klubem. Jestem bardzo wdzięczny za miłe wspomnienia. Jestem wychowankiem Stali, ale trenerem Puszcz i najważniejsze jest dla wygranie meczu, by dalej być w walce o to, co jeszcze w grudniu było nie do pomyślenia. A Stal tak czy owak się utrzyma. Jej rywale mają trudny kalendarz spotkań. Najbardziej cieszy mnie fakt, że nie jesteśmy już w tej strefie co gospodarze. Chcę podkreślić, że wielu kibiców Stali kibicowało Puszcz w ekstraklasie, chcę im za to gorąco podziękować. ©

Wszystkie bilety sprzedane! Pełny stadion. Wisła - czas postawić kropkę nad „i”!!!

Bartosz Karcz

bartosz.karcz@polskapress.pl

I LIGA PIŁKARSKA. Dzisiaj o godz. 21 Wisła Kraków podejmie Chrobrego Głogów i ma szansę zamknąć sprawę awansu do ekstraklasy. Mecz zobaczy komplet publiczności. Wisła ogłosiła wczoraj „sold out”!

Po wygranej wiślaków w Rzeszowie 2:1 ze Stalą pisaliśmy, że zespół z ul. Reymonta jest już praktycznie w ekstraklasie. I tak jest w istocie, bo utrzymanie dziewięciopunktowej przewagi nad trzecią w tabeli Wieczystą Kraków, od której Wisła ma w dodatku zdecydowanie lepszy bilans bramkowy przy remisowym bilansie bezpośrednich spotkań, oznacza, że musiałyby się wydarzyć jakieś kosmicznie nieprawdopodobne wydarzenia, żeby „Biała Gwiazda” wypadła z pierwszej dwójki. Do matematycznego zamknięcia tematu brakuje jej tylko jednego punktu, a to przy założeniu, że Wieczysta wygra wszystkie swoje spotkania. W Wiśle stawiają jednak sprawę jasno, chcą nie tylko postawić kropkę nad „i” w kwestii awansu, ale też utrzymać pierwsze miejsce, na którym krakowski klub znajduje się od samego początku sezonu. A do wykonania tego zadania, żeby nie oglądać się na Śląsk Wrocław, potrzeba czterech punktów. Pierwsze trzy Wisła będzie chciała zdobyć już dzisiaj w meczu z Chrobrym.

Powiedziałem zespołowi i myślę, że zespół podziela mój pogląd, że dla nas też jest bardzo ważne, żeby utrzymać pierwszą pozycję w korespondencyjnej rywalizacji ze Śląskiem Wrocław. Mamy swój cel w tym, żeby być przygotowanym bardzo dobrze do wszystkich kolejnych spotkań, które pozostały - mówi trener Wiśły Mariusz Jop.

Zresztą w Wiśle nikt nawet nie pomyśli, żeby w takim meczu grać na remis, który wystarczy do awansu. Drużyna chce iść za ciosem po wygranej w Rzeszowie i dać radość swoim kibicom, którzy wypełnią stadion przy ul. Reymonta w komplecie. Na trybunach zasiądzie w piątkowy wieczór około 33 tysiące widzów. Nie ma już biletów. Na pewno piłkarze będą mogli liczyć na bardzo głośny doping, a kibice już nie

mogą doczekać się, żeby rozpocząć świętowanie awansu po czterech latach tułaczki po I-ligowych stadionach. Jak zmieniać się będzie Wisła w najbliższych tygodniach, wkrótce się przekonamy, a teraz dla całego wiślaczego środowiska nadchodzi czas celebrowania sukcesu. Wiadomo, że dzisiaj - jeśli Wisła ten awans przypieczętuje - fetowanie odbędzie się na stadionie. Większą fetę klub planuje natomiast już po zakończeniu sezonu, czyli po meczu z Pogonią Siedlce. Tak, jak na spotkaniu z Chrobrym, będzie wtedy komplet na trybunach, a później na Rynku Głównym ma zjawić się jeszcze więcej kibiców.

To jednak perspektywa na kolejne tygodnie, a w piątek Wisła zmierzy się z zespołem, który również ma szansę na awans do ekstraklasy i na pewno tanio skóry nie sprzeda. Chrobry jest bliższy wywalczenia miejsca w barażach. Na razie zajmuje czwarte miejsce i ma cztery punkty przewagi nad siódmą pozycją. Dlatego w Krakowie na pewno będzie walczył nawet o pełną pulę. To jednak Wisła jest oczywiście zdecydowanym faworytem tego spotkania.

Dodajmy, że również walczą o awans Wieczysta Kraków (3. miejsce w tabeli i cztery punkty straty do drugiego Śląska Wrocław) w sobotę o godz. 19.30 zagra w Sosnowcu z Miedzią Legnica też zainteresowaną walką o ekstraklasę (aktualnie 8. pozycja z punktem straty do strefy barażowej). ©



Kibice znów wypełnią trybuny na Reymonta!